



Andrzej Gnarowski

Gazeta Kulturalna

ISSN 1734-3240

Miesięcznik Rok XX Nr 9(229) Żelów, wrzesień 2015

Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka

W numerze:

Wiersze: Jana Belcika Andrzeja Gnarowskiego, Ireny Tetlak, Jerzego Utkina

Andrzej Dębowski – *Pamiętamy? Nie pamiętamy?*

Leszek Żuliński – *„Urok” minionych lat*

Józef Baran – *Przystanek marzenie*

prof. Maria Szyszkowska – *Filozofia codzienności*

prof. Ignacy S. Fiut – *Futuryzm nowoczesny Stefana Jurkowskiego*

Stefan Jurkowski – *Życie za jeden uśmiech*

Andrzej Bartyński – *I to i owo*

Kazimierz Ivosse – *Ateny wołyńskie*

Joanna Friedrich – *Życie w zenicie*

Marek Jastrząb – *Po-ranne noce*

Janusz Orlikowski – *Jeszcze o miłości słów kilka*

prof. Bolesław Faron – *Bronek z Obidzy*

Andrzej Gnarowski – *Poetka śpiewająca „duchem”*

Mirosław Pisarkiewicz – *Dobrze wypieczone wiersze*

Krystyna Cel – *Pojedynek z Losem*

Wydarzenia

Informacje

Imprezy

Noty

Kronika

Zapowiedzi

Opinie

Poglądy

Konkursy

Witryna



Z cyklu: „Pejzaże polskie”

Foto: Andrzej Dębowski

Kronika

Jubileusz Andrzeja Gnarowskiego

Andrzej Gnarowski, poeta i krytyk literacki, obchodzi jubileusz 75-lecia urodzin. Urodził się w 1940 roku w Warszawie. Debiutował jako poeta w miesięczniku *wież* (1971). Publikował wiersze i prace o charakterze krytycznoliterackim, m.in. w takich pismach: „*Twórczość*”, „*Tygodnik Kulturalny*”, „*Miesięcznik Literacki*”, „*Życie Literackie*”, „*Literatura*”, „*Poezja*”, „*Kierunki*”, „*Poezja Dzisiaj*”, „*Gazeta Kulturalna*”, „*Londyńska Oficyna Poetów i Malarzy*” oraz na antenie Polskiego Radia.

W latach 1982-1985 związany był z tygodnikiem „*Tu i Teraz*”, a w latach dziewięćdziesiątych z tygodnikiem „*Wiadomości Kulturalne*”. Obecnie współpracuje z „*Gazetą Kulturalną*”.



Foto: Andrzej Dębowski

Andrzej Gnarowski

Jest laureatem wielu konkursów poetyckich i nagród literackich, m.in.: Konfrontacji Poetyckich im. Haliny Poświatowskiej (Częstochowa 1979-1980), Festiwalu Poezji w Łodzi (1876 i 1985), Lauru Poetyckiego na Międzynarodowej Galicyjskiej Jesieni Literackiej (2009), Nagrody Literackiej XXXIII Międzynarodowego Listopada Poetyckiego (Poznań 2010).

Jest autorem siedmiu książek poetyckich (w przygotowaniu kolejna pt. „*Cantata*”). W latach 2000-2012 był członkiem Zarządu Oddziału Warszawskiego Związku Literatów Polskich oraz w Komitecie Organizacyjnym Warszawskiej Jesieni Poezji. Od 2012 członek Prezydium Zarządu Głównego ZLP na stanowisku skarbnika.

Jego wiersze drukowane były w kilkunastu antologiach i tłumaczone na kilka języków.

Jubilatowi redakcja „*Gazety Kulturalnej*” życzy dalszych sukcesów literackich oraz wszystkiego najlepszego z życia osobistym.

Informacje

Doroczne nagrody Międzynarodowego Listopada Poetyckiego w Poznaniu

Związek Literatów Polskich Oddział w Poznaniu zaprasza Autorów, Wydawnictwa i Stowarzyszenia do nadsyłania książek poetyckich, godnych NAGRODY LITERACKIEJ XXXVIII Międzynarodowego Listopada Poetyckiego. Laureata poznamy podczas Inauguracji festiwalu, 4 listopada 2015 roku w Sali Lubrańskiego UAM w Poznaniu (Wienawskiego 1).

Tomy poetyckie, wydane w języku polskim w roku 2015 prosimy nadsyłać w 3 egzemplarzach, do 30 września br. Wybory wierszy nie będą brane pod uwagę. Wewnątrz dużej koperty z 3 egzemplarzami książki należy zamieścić małą kopertę, zawierającą kartkę z imieniem i nazwiskiem autora, adres zamieszkania, adres mailowy lub numer telefonu.

Adres organizatora: Związek Literatów Polskich Oddział w Poznaniu, ul. Dmowskiego 37, 60-222 Poznań.

Złota róża dla Dominika Witosza z Londynu

Już po raz drugi przyznano Nagrodę Literacką im. Jarosława Zielińskiego „Złota Róża” za 2014 rok. W lipcowym posiedzeniu Kapituła tej Nagrody w osobach: Aleksander Nawrocki (przewodniczący Kapituły), Stanisław Grabowski, Andrzej Walter, dr Lam Quang My i Mikołaj J. Wachowicz nominowała do nagrody kilkunastu poetów, którzy wydali nową książkę poetycką w 2014 roku i nie przekroczyli czterdziestego pierwszego roku życia.

Wśród nominowanych pozycji znalazły się książki m.in.: Adriana Glenia (*Re*), Urszuli Kulbackiej (*Tanzen, Tanzen*), Ignacego Karpowicza (*Sońka*), Agnieszki Masłowieckiej (*Splątanie*) Tadeusza Pietrzaka (*Umlauty*) Michała Książka (*Nauka o ptakach*), Łukasza Jarosza (*Świat był mój*), Romana Honeta (*Świat był mój*), Bonawentury Michała Wierzejewskiego (*Tkacz*), Piotra Koprowskiego (*Czekając na słońce*), Katarzyny Nazaruk (*Szept i przestrzeń*) i Dominika Witosza (*Sinusoida uczuć. The Emotional Sinusoid*, wersja polskoangielska).

Ostatecznie po dyskusji i po jawnym głosowaniu jednogłośnie „Złotą Różę” przyznano Dominikowi Witoszowi, poecie urodzonemu w Bielsku-Białej, od kilku lat mieszkającemu w Londynie. Witosz pierwsze wiersze pisał w liceum. Od 2012 roku jest członkiem londyńskiej Grupy Artystycznej KaMPe. Publikował m.in. w prasie i w antologiach. *Sinusoida uczuć* jest jego debiutem książkowym, i to udanym.

Członkowie Kapituły dostrzegli aktualność twórczości Witosza, jest on polskim poetą działającym w Wielkiej Brytanii, poruszającym istotne problemy Polaka-emigranta we współczesnym świecie i podejmującym ambitną próbę nakreślenia jego rysu psychologicznego. Jednocześnie należy podkreślić, że poeta nie traci kontaktu duchowego z krajem ojczystym. Propaguje też polskość za granicą.

Ponadto podczas posiedzenia Kapituły przyznano trzy stypendia literackie młodym i uzdolnionym poetycko uczniom szkół ponadpodstawo-

wych. Stypendystami w roku szkolnym 2015/2016 zostali: Kinga Bogaczyk z Łomnicy koło Piwnicznej, Anna Pysznik z Warszawy i Wojciech Trybulec z Radomyśla Wielkiego.

XXXI Ogólnopolski Konkurs Literackiego im. J.I. Kraszewskiego

Organizatorami konkursu są: Białskie Centrum Kultury, Klub Literacki „Maksyma”, Muzeum J.I. Kraszewskiego w Romanowie

Celem konkursu jest konfrontacja i upowszechnianie twórczości literackiej, a także wiedzy na temat życia i twórczości Józefa Ignacego Kraszewskiego.

Konkurs ma charakter otwarty (mogą brać w nim udział amatorzy oraz członkowie profesjonalnych stowarzyszeń twórczych).

Konkurs rozgrywany jest w kategoriach poezji i prozy.

Przyznane zostaną następujące nagrody:

a) I, II, III w obu kategoriach;

b) nagrody specjalne: za tematykę podlaską; za utwór związany z twórczością i biografią J. I. Kraszewskiego; nagroda Klubu Literackiego „Maksyma” im. Wiesława Gromadzkiego.

O podziale nagród zadecyduje jury konkursu.

Zgłaszane prace nie powinny być wcześniej publikowane i nagradzane w innych konkursach.

Nagrodzone utwory mogą być zamieszczone w publikacjach organizatorów i prasie, bez dodatkowego wynagrodzenia.

Prace konkursowe podpisane godłem należy nadesłać wyłącznie drogą mailową.

a) praca konkursowa powinna być w formacie .doc, .rtf lub .pdf,

b) w tytule wiadomości piszemy „XXXI Ogólnopolski Konkurs Literacki – praca konkursowa”,

c) informacje o autorze: imię i nazwisko, telefon dokładny adres korespondencyjny oraz adres mailowy, wysyłamy drogą pocztową na adres organizatora, opatrzone godłem autorskim (takim samym jak w przypadku pracy konkursowej); do informacji dołączamy także wypełnione oświadczenia

Jeden autor może przysłać maksymalnie 5. utworów poetyckich, lub maksymalnie 20. stron tekstu prozatorskiego, zamieszczonych pod jednym godłem/pseudonimem.

Autor może przysłać prace zamieszczone pod maksymalnie trzema różnymi godłami / pseudonimami, umieszczone w jednym mailu wg powyższych zasad.

Prace konkursowe należy wysłać do 14 września 2015 r. na adres mailowy:

piastr@bckbialapodlaska.pl

Informacje o autorze należy wysłać na adres pocztowy: **Klub Kultury PIAST; ul. Spółdzielcza 4; 21-500 Biała Podlaska, z dopiskiem Konkurs im. J.I. Kraszewskiego.**

Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi **10 października 2015r.** podczas finału XXXI Podlaskich Spotkań Literackich. Laureaci zostaną poinformowani o nagrodach telefonicznie lub mailowo.

Prace, które nie będą spełniały wymagań reguaminowych nie będą uwzględniane w konkursie.

Dodatkowe informacje o konkursie można uzyskać pod numerem telefonu: **83 341 64 59.**

Marek Jastrzęb

Po-ranne noce (4)

Spolecznych, egzystencjalnych, kulturowych. Broni się, wszczepiając sobie w twarz odpowiednie grymasy, akuradne wyglądy, słuszne skóry i stosowne maski. Używa kuglarskich min, by nie dać się zaprząć do chodzenia na modnym pasku, po wytyczonych ścieżkach, by uniknąć wizerunku pisarza wzorowego, porządnego, wypłukanego z wad i uczesanych postaw.

Nie pragnie poruszać się po świecie sposobem pompacyjnym i pryncypialnym, w dętym namaszczeniu i na sardonicznej modłę; chce być sobą, bo bycie sobą, bycie rozpoznawalnym JA, to wstęp do bycia artystą: razem z nieznośnym dobrodziejstwem inwentarza.

Nie jest kopistą artystycznych wypowiedzi, nie fabrykuje więc swoich tekstów według pigularskich, matematycznych, przesadnie semiotycznych recept. Nie pisze na obstatunek doraźnej chwili, dyspozycyjnym, lokajskim i skwapliwym piórem, jak pastwiący się nad nim doktrynerzy, marudni poloniści uprawiający sabaty nad jego utworami, owe sztywniacko-poprawnościowe wygibasy tępych belfrów w rodzaju ferydurkowego profesora Pimki; tworzy sobą, bo, jak mawiał Flaubert: pani Bovary, to ja.

Jest sobą, człowiekiem pojedynczym czyli kwintesencją uczciwości swoich zdań. Nieocyszczonym z kompleksów, skaz i zalet.

I dopiero wtedy ma przekonanie: jest artystą całkowitym. A ponieważ wszystkie te właściwości są składowymi częściami artysty-arystokraty, to skumulowane w jedną, przepuszczone przez jego osobowościowy filtr, oferują nam, pożeraczom codziennego chleba, tekst godny miana arcydzieła.

Niestety, wedle słów Gombrowicza, artystów piszących sobą, jest niewielu. Nielicznych stać bowiem na niewymuskana odwagę pisania pod prąd, wbrew utartym gustom, na przekór konwencjom i przyzwyczajeniom do usypiającej rutyny.

Poglądy Gombrowicza na sztukę są niekiedy mocno krzywdzące.

Lecz artysta jest usprawiedliwiony okolicznościami, które skłaniają go do ferowania tak radykalnych wyroków. A usprawiedliwieniem tym jest jego emigracja; od 1938 roku gości poza krajem. W Argentynie zastaje go II Wojna Światowa i już nigdy nie wraca do Polski (umiera we Francji w 1969 roku). Zresztą po wstała po wojnie karykatura kraju zniechęcała raczej, aniżeli kusila go do powrotu.

Przed wojną mówiło się o nim. Czasem w

superlatywach, czasem z kompletną nieznamonością rzeczy, ale choć kontrowersyjny i sprawiający recenzentom kłopoty, to przecież był publikowany, wydawany, dyskutowany.

Inaczej w Kraju Pampasów, gdzie zaczyna od zera; przekształca się z autora głośnej powieści Ferdurdurke w nieznanego, początkującego debiutanta na literackim dorobku i powoli wyrabia sobie markę: pisze felietony, eseje recenzje do tamtejszej prasy.

Uparcie pracuje nad sobą i wreszcie dobiża się uznania. Lecz jako neurotyk, nie cierpi ustabilizowania: nudzi go tutejsza martwota artystycznego środowiska, zatem wyjeżdża do Francji, jednak obcy tam, skąd wyjechał i nietutejszy tu, dokąd go przywiało, nie może sobie znaleźć miejsca.

W Ameryce Południowej nie istnieje tak, jak na to zasługuje, w PRL. jest na indeksie, ima się więc nowej pracy: znowu pisze felietony, eseje, recenzje, następane powieści, publikuje i wystawia dramaty, kontynuuje Dziennik, który emituje Radio Wolna Europa.

Parę lat temu czytałem „Dzienniki” Gombrowicza, aż mi uszy się trzęsły. Chłonałem i topiłem się w nich. Cały czas myślałem z rozpaczą, dlaczego dobry Bóg nie obdarzał każdej generacji polskiej przynajmniej trzema Gombrowiczami. Dlaczego tak mało cudów, wiatrów, trąb powietrznych, piorunów kulistych pod naszym niebem intelektualnym? Dlaczego tam świeci zawsze zapyziałe, anemiczne, słabo grzejące słońeczko z elementarzy? Słońeczko, które grzeje słabo wierzby przydrożne, kościółek drewniany, ранnego ulana, siejącą rutkę pannę i dobrego pana starostę? Więc żarłem tego Gombrowicza i oczy wylazły mi z orbit. Kochałem tego Gombrowicza, kabotyńskiego Michała Archaniola z mieczem szyderstwa w dłoni, co ganiał polskich kabotynów po polskim niebie. Tak się zachwyciłem, że w stanie kataleptycznym runąłem na jego powieści i dramaty. Ale tam jakoś odpadłem.

Zamiast flaków, bebeczów, gotującej się krwi, znalazłem zimną laubzegę. Usłyszałem cichy poświst laubzegi wypływającej popisowe wzory. Nie, nie, Boże broń, nie szargam wielkiego świętego Szargacza.

Chcę tylko doradzić: czytajcie najpierw jego prozę, a dopiero później, jak najpóźniej, może przed samą śmiercią sięgnijcie po „Dzienniki”. On pierwszy kolnął w zadek

Wielkiego Kabotyńca. On nam wyrysował tę postać, jak w policyjnym liście gończym rysuje się domniemany portret przestępcy. On pierwszy Przeciął i wypuścił cysternę złej krwi i chorobotwórczej flegmy. On wywabiał z niewidzialności tę żalostną figurkę z krakuską i pawim piórem na głowie.

T. Konwicki, „Kalendarz i klepsydra”

Argentyna, w której po prawie dwudziestu latach dochrapał się jako takiej akceptacji i względnej popularności, zaczyna go mierzić; za wiele czasu upłynęło od pierwszego, ośmioletniego okresu biedowania, głodowania, pomieszkiwania w pokojach umeblowanych nędzą. Dostyc ma też następnych siedmiu lat urzędniczej stabilizacji: pracy w banku i życia na obczyźnie, wegetowania pozabawionego celu, rozpaczy poznawania ludzi, których nie interesował i którzy jego nie fascynowali.

Pogardza tamtejszą emigracyjną konserwą, zapyziałymi polonusami o wielkopańskich manierach, ich sampokrępiającym się patriotyzmem, z którego natrzęsa się niemiłosiernie; z przyjemnością graniczącą z udęciem.

Nie cierpi miernych literatów o wyśrubowanych aspiracjach i minimalnych zdolnościach, stroni od nadętologii w wykonaniu strasznych mieszczan rozpacyjnych nad filizankami kawy z domieszką komicznej godności, żarliwie perorujących o niczym.

Drażnią go ziemiańskie towarzystwa, ich wzniosła parafianiszczyzna, monotematyczne, infantylnie drętwe i jałowe dysputy o niegdyśszych majątkach, genealogiach czy przefurjowanej zamożności. Poza wspólną niedolą emigranckiego losu nie łączą go z nimi żadne inne względy.

Wyalienowany jako pisarz, obarczony przymusową obsesją niszczenia innych twórców, traktowania ich jak wrogów, targany walką ze swoimi wizerunkami, z tysiącem własnych, okolicznościowych twarzy, trzyma się młodych twórców, twórców in spe; na razie wolnych od bakcyła snobizmu. Lecz i oni nie mają pojęcia, kim jest.

Bytuje w środowisku ząbkujących artystów uchodząc wśród nich za proroka, guru, niepośledniego wybitnego. Ale otoczenia te, choć początkowo bawią go i jakkolwiek uwielbia je zaskakiwać, wpędzać w zażenowane konfuzyje – są zbyt kołtuńskie i zanadto

(Dokończenie na stronie 4)

Po-ranne noce

(Dokończenie ze strony 3)

provincialnie-ekskluzywne, by mógł im aplikować stale ten sam repertuar szokujących zwierzeń i obrazoburczych poglądów. Toteż przy pierwszej nadarzącej się okazji wyjeżdża z Argentyny i w poszukiwaniu świeżej krwi [nowej publikii] drałuje do kraju Sartre'a (dostaje roczne stypendium-zaproszenie Fundacji Forda finansującej mu pobyt w Europie).

Francja jest wtedy zauroczona Proustem, językowym prestigitatorem i wyobraźniową potęgą na dożywotnim zwolnieniu od zdrowia, Marcellem, do którego Gombrowicz żywi ambiwalentne uczucia. Jak do wszystkiego zresztą, o czym się wypowiada; raz eksploduje uwielbieniem i nieumiarkowanym entuzjazmem, mówi o kimś z respektem, podziwem i ekscytacją, a kiedy indziej – z demonstracyjną przekorą, rezerwą i dystansem, jak gdyby specjalnie uwziął się, by być bulwersantem, gorszytcielem, skandalistą.

Raz przeto jawi mu się Proust jako niepośledni umysł, innym razem – jako nieznośny i nadsubtelny wrażliwiec szybujący poniżej swojego talentu.

Jak Proust, tak i Gombrowicz jest nieustannie rozczarowany; oczekiwania przeczą spełnieniom. Mimo to pragnie pójść szlakiem paryskich ulic, znaleźć dom, w którym mieszkał za pierwszego pobytu, odświeżyć w sercu dawne drgnienia, na żywo poznać Jerzego Giedrojcia i jego siedzibę w Maisons Laffitte, pogadać z „Kotem”, wielkim admiratorem jego twórczości, o którym napisał: „Wszystkie wydania moich dzieł w obcych językach powinny być opatrzone pieczętką „dzięki Jeleńskiemu”.

Rozpierają go nostalgii, dręczą echa z czasu młodości, napadają mroczne tęsknoty. Ale rychło się przekonuje, że pragnienia gwizdzą na rzeczywistość: magdalenka, to mit; Paryż zepsiał przez czas jego nieobecności, wydoskonaliał i pokrył się patyną wieku, słowem – stracił wyrafinowanego ducha i obrósł w powagę, a sielankowe domy z młodości skurczyły się bezpowrotnie.

Lecz rozczarowania i zmienne nastroje Gombrowicza biorą się z chimerycznej miłości; kiedy wiódł nierajski przebyt w pampasowych ostępach, przeklinał ów kraj i szydził z niego zawzięcie.

Natrząsał się z jego towarzyskiego blichtru, z maciupkiej literatury o słoniowatych pretensjach. Ale kiedy go opuścił, zapragnął w nim być od nowa. I odtąd Argentyna ma dla niego dwa oblicza.

Pierwsze pochodzi z Dziennika, niemal konfesyjnego utworu, dzieła, z którego wyłania się obraz człowieka zagubionego pośród własnych masek, człowieka o sprzecznych tożsamościach, bezradnego, przerażonego tym, co o sobie naopowiadała, a czego już nie

zdaży zdementować. Tam znęca się nad nią nieprzytomnie.

A drugie, to poetyckie majstersztyki, pejzaże, zapisy doznań i widoków miejsc, po których wędruje plastycznie ciepłymi, wzruszająco poetycki

Kongres futurologiczny

Wielbicieli twórczości Stanisława Lema liczy się w milionach.

Nakłady jego dzieł biją rekordy popularności a utwory znaleźć można w wielu krajach. Wydawałoby się więc, że w ślad za ich znajomością podąży czytelnicza percepcja. Niestety; za często coś się nam wydaje: to, że jest czytany i podziwiany, nie oznacza, że jest rozumiany. A zwłaszcza, że wyciąga się z jego tekstów jakieś sensowne przestrogi. Przeciwnie: czyta się go powierzchownie.

Powiedziałbym nawet, że nie tyle czyta, co pobieżnie wertuje i pilnie wylawia co hecniejsze „kawalki”.

Był w moim życiu podobny epizod: pasjami czytałem fragmenty z dialogami, natomiast ochoczko pomijałem rozwlekłe partie z opisami przyrody. Ale w miarę dorastania owa przyszczata niedomoga uleciała ze mnie i teraz mam ochotę na lekturę.

Na poznanie powodu, dla którego książka została napisana. Na refleksje z jej przesłania i osobiste przeżycia. Indywidualne, jednak wzbogacone dziełami innych twórców poruszających się w obrębie tego samego przesłania. Zmierające w podobnym kierunku, lecz oświetlające problem z innej perspektywy. Myślę tu o pisarzach zajmujących się przyszłością. Jedni, jak Lem, widzą nadchodzący świat jako konsekwencję przeszłości. Przyszłość zdeterminowana Historią przedstawiona jest jako następstwo nieuchronnych wydarzeń, z którymi trzeba się zbratać. Pogodzić, a jednocześnie – próbować zmienić bieg aktualnych wydarzeń. Co nie należy do łatwych zadań i częstokroć, w trakcie lektury, okazuje się, że jest ono – niewykonalne. A niemożliwe do zrealizowania z przyczyn odwiecznej ułomności ludzkiej natury.

Między innymi widać to w Kongresie futurologicznym, utworze napisanym w tonacji minorowej. Pierwszym bohaterem jest Człowiek, Ijon Tichy, drugim natomiast – chemia. Masowe stosowanie halucynogenów. Chemia w społeczeństwie przyszłości wpływa na każdą dziedzinę ludzkiego życia: steruje nim i decyduje o kształcie wszystkich podejmowanych przez niego projektów.

Bohater przebywa w krainie powszechnej szczęśliwości. Nie ma w niej wojen, ludzie są wobec siebie uprzedzająco grzeczni, żyje się wielokrotnie, dzieci uczą się czytania i pisania poprzez zażywanie ortograficznych syropów, prognozę pogody ustala się w drodze głosowania, nie trzeba chodzić do szkoły, bo wiedzę zdobywa się doustnie: zażywając płyn z odpowiednim podręcznikiem.

Z tym, że na skutek zbyt zachłannego przyswajania uczoności, trzeba brać środki na przeczyszczenie wyobraźni. Ale nie należy sądzić, że jest to Arkadia. Opisany przez Lema świat, w którym znalazł się Tichy, złożony jest z ulud, masek, psychologicznych warstw: wierzch jednej stanowi podszewkę drugiej, a żadna wersja rzeczywistości nie jest ostateczna. Tak, że nie wie, gdzie jest na pewno i nie ma pojęcia, czego doświadcza naprawdę.

W jego otoczeniu trwa nieustanny proces zmian: gwałtowna fermentacja nastrojów, nieustanne ich modyfikowanie, upiększanie, doskonalenie, dostosowywanie otoczenia do wymogów chwili. Otaczający świat jest bez przerwy kreowany, istnieje więc jako rezultat kompromisu, wypadkowa rządzeń losu, emanacja uludy. To psychopatyczna, dziwnie zwielokrotniona wizja świata pokutującego za poprzednio popełnione błędy. A błędy te, są konsekwencją bezkrytycznej, zaślepiającej ufności, wiary w potęgę chemii, w jej magiczną moc. Lecz są to zaledwie wymówki, preteksty, zawile tłumaczenia: wynikają z ludzkiej bezradności. Bo ten zarysowany przez Lema idylliczny pejzaż jest w istocie imitacją, wytworem psychotropów, produktem zażywania proszków, mikstur, legumin i aerozoliowych specyfików rozpylanych w powietrzu.

Ma postać upiorną, a pętający się po nim ludzie wcale nie są grzeczni i nieskazitelni, nie żyją w luksusach i dobrobytach, tylko w nędzy; na skutek długowiecznego życia i częstego zmartwychwstawania na życzenie, ich fizyczny wizerunek to zbiorowisko protez, liszajów i odprysków nadgniętego ciała. Lecz ten widok spryskany jest chemikaliami dającymi sielankowy konterfekt.

Inni, współcześni fantaści, zadowolają się kostiumem, a człowiek, to dla nich dodatek do kozucha. Kontentują się malowaniem przerażających obrazków z nadciągającej rzeczywistości. Prezentują stale te same wizje koszmarnych obcych, złych i dobrych czarodziejów, smoków z laserowym ognikiem, jarmarku gwiazdnych wojen o pietruszkę, chaosu i degeneracji; od czasu genialnego Tolkiena obecni autorzy nie wybudowali się z naśladownictwa jego dokonania.

A pan Stanisław jest przede wszystkim humanistą; fantastyka, to dla niego dekoracja. Dlatego dzieła autora Cyberiady sprowadzają nas na ziemię; na pierwszym miejscu nie są więc gwiazdy, próżnia i kosmiczne landszafty, ale bliźni zmuszeni do nierównej walki z Naturą i zardzewiałą technologią. Nie heros, niezwykła i pyszałkowata figurka z komiksu, tylko zwyczajny człowiek: nieraz surrealistyczny, częstokroć doskonały inaczej, lecz górujący rozumem nad głupawą elektroniką, zwyciężający tym, co ludzkie: zdrowym pomysłem i niekwestionowaną inteligencją.

Marek Jastrzęb

MNIJ WIĘCEJ (127)



Foto: Zofia Mikula

„Urok” minionych lat

Maria Borcz, poetka z Gorzowa Wielkopolskiego, wydała swoją kolejną książkę. Tym razem nietypową. W klasycznym formacie tomiku poetyckiego, ale to nie są wiersze, to nawet nie jest proza poetycka.

LESZEK ŻULIŃSKI

Na plecach okładki mój krótki komentarz, który przytaczam w całości: *Na temat Polski „stalinowskiej i socrealistycznej”, a potem „gomułkowskiej”, „gierkowskiej” i „jaruzelskiej” napisano już opasłe dezyderaty naukowe. Ona ma do dzisiaj swoje stereotypy w naszej pamięci. Ja i Maria Borcz jesteśmy niemal rówieśnikami. Toteż czytając te zapiski, odbyłem podróż we własne dzieciństwo i młodość. Tak! Aura tamtych lat była dokładnie taka. Sepia zwietrzałego czasu nagle nabiera rumieńców. Żyło się biednie i siermiężnie. Jednak Polska odbudowywała się, a potem „cywilizowała”. Maria Borcz odtworzyła drobiazgi i klimaty. To jeszcze jeden, lecz wyjątkowo osobliwy album pamięci historycznej, wyhaftowanej na kanwie własnej biografii.*

Taka wycieczka 60-70 lat wstecz poruszy pamięć i wspomnienia mojej (i starszych) generacji. W ciągu tego czasu standardy życia zmieniły się nie do poznania. Mimo tamtych „okoliczności” Polska się jednak odbudowywała i oferowała jakąś stabilizację. Gdyby pominąć ideologię stalinowską i późniejsze, to szło ku lepszemu. Gomułka był lepszy od Bieruta, Gierek od Gomułki, a Jaruzelski (pomijając stan wojenny) lepszy od Gierka. Ograniczenie praw człowieka i obywatela, nakaz „nienaruszania socjalizmu” i restrykcje nakazu tego strzegące – to był największy problem okresu 1945-1989. Ale tzw. zwykłe życie toczyło się tak, jak zawsze. Zdarzały się nawet „przewroty kopernikańskie” – ja np. z dzieciństwa najmocniej pamiętam, gdy do mojego domu wjechał telewizor. A drugim mocno zapamiętanym dniem był ten, kiedy kupowałem swój pierwszy samochód – fiata 126p. To było wydarzenie nadzwyczajne. No i do słonecznej, bratniej Bułgarii można było wyjeżdżać na wczasy, he, he. Jestem nawet gotów zaryzykować tezę, że szkolnictwo pod-

stawowe, średnie i akademickie edukowało nas lepiej niż dzisiaj.

No ale fakt, faktem: słowa z butów i pejcz z kieszeni wylażyły tamtemu socjalizmowi. No bo doktryna demokracji jakoś dziwnie była interpretowana. Według niejakiego Pawłaka: *sąd sądem, a sprawiedliwość musi być po naszej stronie*. I była! Po stronie matczki naszej ukochanej – PZPR. Młodzieży wyjaśniam: Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej.



Wspominki, wspominki, wspominki z czasów *ancien régime*’u. Ech, młodości nasza! Ciężko się żyło, a może raczej „przańsie”, ale dziś już nas to coraz mniej boli. Mamy nowe zmarwienia, a tamte lata pozostały raczej właśnie czasem naszej młodości – zawsze jakoś pięknej, choćby i siermiężnej.

Już na początku tej książeczki mamy przypomnienie pamiętnego dnia, kiedy to zmarł generalissimus Józef Stalin. Oto fragment: *W moim domu wiadomość o śmierci Stalina przyjęto z ulgą. Pierwszy raz w życiu dostrzegłam rozdarcie pomiędzy tym, co mówią w szkole, a tym, co myśli się u mnie w domu. Doszłam do wniosku, że ludzie dzielą się na rozważnych i kolektywnych. Rozważni pielęgnują własne ideały – sprawując kontrolę nad językiem. Kolektywni wzajemnie sobie towarzyszą w realizacji hasła „Program partii – programem narodu! Jakże to proste. W tym zapisie autorka przypomina też żalobny wiersz... Artura Międzyrzeckiego: (...) Słuchaliśmy do rozpacy / Bolejący i niemi / Stalin. Duma dni naszych / Największy z ludzi na ziemi (...) Była cisza werblem rozdarta / Grzmiały salwy i dzwonił dzwon / Tłumiąc ból, co dusił nam gardła... No, na szczęście z takich emocji rodziły się świetni poeci, co potem Międzyrzecki przecież swoim pisaniem potwierdził.*

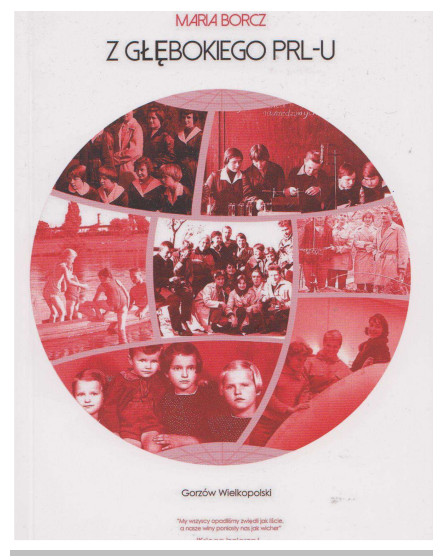
Inny wiersz, tym razem Władysława Broniewskiego: *Rewolucjo! – któż wiatr powstrzyma; / kto ziemię zawróci w biegu? / Rewolucjo, tablice praw Rzymu / obalamy od Chin po Biegun. I kolejny komentarz autorki: *Szum informacji. Od nowa piszemy historię dziejów. Czerwień gwiazdy oślepia! Gdy wpatruję się w nią, widzę pustynię i**

fantasmagorię. Patriotycznej historii nie trzeba prawdziwym patriotom. Ci, co walczyli o niepodległość, byli politycznymi historykami? Uczyszam myśli...

Jak widać Maria Borcz nieźle zapamiętała minione czasy i poszperała w tekstach, które utrwaliły tamten klimat. Jej komentarze natomiast punktują nonsens ideowy i propagandowy minionego czasu. Jak na dłoni mamy nie tylko realia, ale i dystans, jaki – chwała Bogu! – dzisiaj tamtej historii towarzyszy.

Tak, wpis po wpisie, płyniemy w tej książeczce ku późniejszym czasem, aż dopływamy do stanu wojennego: *Wejdą? Nie wejdą? To pytanie budzi wielki niepokój. Dzisiaj weszli do Zakładów Mechanicznych Ursus. Czołgiem sforsowali bramę. Milicjanci z pałkami i tarczami wtargnęli do zakładu, żeby wykurzyć strajkujących. Strzelali z petard i granatów gazowych. Uciekającym urządzili „ścieżkę zdrowia”. Od wyjścia ustawili się długi szpaler. Wybiegających palowali, kopali, szczuli psami. Rzadko kto wyszedł spod deszczu pał o własnych siłach. Zmasakrowanych wywieziono do aresztu. Wejdą? Nie wejdą? Aż strach pomyśleć, w jaki sposób może zakończyć się strajk w Silwianie.*

Tak, ta książeczka, rozmiarami niepozorna, ogarnia Polskę kilku długich dekad. Nie są to wiersze, nie jest to proza, nie są to reportaże, zapewne nawet nie zapiski z tamtego okresu. To są „scenki”. Ale ich skondensowana treść przemawia mocnym głosem. Borcz unika też własnego personalizowania ocen epoki. I bardzo dobrze – historia mówi tu sama za siebie. Dla mnie i moich rówieśników o tyle to ważne, że film przeszłości został jakoś uporządkowany i przesuwa nam się przed oczami. Tych spraw do tej pory nie tykał gatunek miniatury. Owszem, były liczne dzienniki, pamiętniki, publicystyka, lecz tu nad tymi tekścikami wisi jeszcze szczególna aura. Ni to literacka, ni to nieliteracka, nie wiem, jaka, ale wymowna i ważka w swym przesłaniu.



Maria Borcz, *Z głębokiego PRL-u*. Wydawnictwo Sonar, Gorzów Wielkopolski 2015, s. 40.

Andrzej Gnarowski

* * *

*Transkrypcja na muzykę organową
według Allena Ginsberga*

Muzyka zstępuje nieubłaganie jak wysoka łądoga schylona
I ciężka od kwiatów. Muzyka jak ryba w sieci Boga –
Kiedy jej głos dochodzi do świata jak odbicie w wodzie
Blednie czerwien zachodu. Morze jak kariatydy podtrzymuje
Niebo. Stopy Naomi dotykały piasku – biegła po plaży
Rozplątując warkocze (tragizm i śmieszność obłąkanej kobiety)
On był wśród nas i pisał wiersz „Warszawska kawiarnia”
Stał przy barze dopijając kwartę piwa myślał o sobie
Jako o kimś zaangażowanym w walkę o ocalenie świata –
Potem zbudował dom na pustkowiu z kompozycji dźwięków
Zaledwie młodzieniec z koźmi Emily Dickinson
„każdy dźwięk osadzał mocno kamienie wieży”
W świetlicy na Long Island został jego stary rozklekotany
Fortepian. Kiedy stał na schodach wieży słyszał skowyt
Widział stado wilków i ich lśniące oczy w tym leśnym
Oratorium gdzie drzewa są pełne tajemnic ptaków śpiewających
Pod ulicami płynęły rzeki. Ponad głowami nieśli na żelaznym
Krzyżu rozpiętego Chrystusa. Tłum szalał a maskami na twarzach
Jak w krainie snów „dwadzieścia pięć tysięcy szalonych towarzyszy”
Na klombach wyrastają słoneczniki czarne od pyłu i sadzy
Muzyka którą wciąż pragną odgadnąć zstępuje jak wysoka
Schylona łądoga ciężka od kwiatów przy zmarłej matce i ciotce
Róży smarującej uda płynnym pudrem z grymasem uśmiechu
Z miłosnym westchnieniem i milionem niewysłowionych myśli
Ciotka Róża w Domu Starych Kobiet przy Bulwarze Zachodzącego
Słońca gdzie jej długa i smutna twarz w ciemnym hallu
Dziś wieczór wszystkie twarze zwrócone w Jego stronę
„okna biegnące w perspektywie Nowego Świata ku kolumnie
Zygmunta III stojącego na straży”. Białe okna dziewcząt
W czarnych pończochach z wydepilowanymi brwiami
Piersi jakby wznosiły się nad ciałami różnokolorowych oczu
Po wyjściu z kawiarni znaleźliśmy ogród pełen łądóg ciężkich
Odbijających cienie kobiet w wiktoriańskich sukniach
Słuchających muzyki organowej (właśnie kręcono film
o moim mieście sławnym wypatrując chmur na łożnianym niebie)
„stał przede mną w zachodzącym słońcu w całej chwale swej postaci”
Na Dworcu Głównym w Muzeum gdzie bezduszne stare lokomotywy
W spoczynku w białej masie powietrza kiedy je mgła otula
Przestrzeń poza nimi i popiół na paleniskach
Nasze cienie przesuwają się powoli. Zbiegają Za nami.
Toczą się żelazne kule rozpraszają biel

PS. Allen Ginsberg (1926–1997) poeta amerykański –
najwybitniejszy z „Beat Generation”

* * *

*zamknąłem oczy
za mną niewiarygodnie piękny
śnił o sobie Manhattan*

Różewicz

Na ciemnym obiciu nieba słońce gwiazdy jesień
I śmierć „jak z pisklęciem w gnieździe z drapaczy chmur”
One mają władzę nad ludzkim łądem i człowieczym fatum
Panie Tadeuszu skóra dnia była jak świetliste włókna

A my wciąż nie wiemy kim był „fundamentalista” który
Chciał wysadzić w powietrze World Trade Center
Więc pomyślał sobie: „w imię boga sprawiedliwego
wysadzę ten drapacz chmur do nieba”. Był to człowiek
(zapewne „głęboko wierzący”, I cóż mógł Bóg poradzić –
Panie Tadeuszu przed dworcem w Radomsku zakwitła akacja
(powtórnie) w Karpaczu spadł śnieg. Tam kościółek Wang
Przywieziony z Norwegii (XVII wiek) u podnóża Śnieżki
A mgła ciężko dzwoniąc otwierała lustro drzwi
Nad błękitną ścianą morza mewy drżące z niemocy słów –
Stara kobieta szła brzegiem morza gdzie złoty kołacz
Twarzy osłaniała chustką jak żaglem. I tu prosił ziarnisty
Śnieg „dom kołysał się odpływał z trumną i kołyską”
Kiedy północna gwiazda przetoczyła się cicho powiedziałem
Do żony: „W twoich włosach czułem zapach ptasich gniazd”
Głęboką nocą jak węgiel kiedy morze odpoczywa nieprzytomnie
A światło rozpyływa się w nieskończoność –
Z pierwszym śniegiem przylatują wrony. Kołują senne zjawy
Na Rockefeller Center ślizgawka (dzieci chodzą na palcach)
Wokół choinki z czerwono-złotymi światełkami
Przed chwilą przeszedł człowiek z sercem wszystkimowidzącym
Usłyszałem głos spadający z góry zanim nastąpił koniec
„Sonaty Kreutzerowskiej” głos toczył już był nisko
„Człowiek jest silniejszy – na swój sposób
jest bardziej rozumny. Lecz to ja jestem wieczny,
bo jestem śniegiem, jestem wodą, jestem przeznaczeniem”
Wieżę którą można porównać do promieni znaczonej
Kanałami kiedy nakładają się świecą w szybach
Jak dzwony wierzby stojących w szeregu na drodze
Do Siewierska gdzie Weronika w białej sukni ćwiczyła
Etiudy a jej mąż Henryk pochodzący z Illinois
Stał nad urwiskiem i patrzył jak przepływa jezioro
Wielkie jak akwarium gdzie brzegi śniegiem pobielone
Panie Tadeuszu w Gliwicach jak w Canossie
W krzewach pamięci. W pogoni powietrza złote liście
Które w Central Parku kadryła tańczyły



Barbara Medajska

Jan Belcik

Sierpień

Ojcu

Wielki wóz
dwie kosy i sierp
rozwieżdżone
snopami galaktycznych sztalug
w iluminacji muzyki sfer
– strąconego na pobliskie wzgórze
beskidzkiego nieba

pod którym wibrujące
modulacje świerszczy
uświatniają Twoje urodziny
a galop wieczoru
połyka dym
na zawsze zgaszonych historii

w galaktyce sierpnia
wszystko jest chwilą
i chwila jest wszystkim
w rozedrganych oczkach
igraszek kropli rosy
na opróżnionym już podwórku
z przydomowym zagonem
samotnych słoneczników
w ledwie przywróconej
na ten moment
męskiej czułości

Łupina

Pusta wydrążona łupina
czeka na rozkład

jeszcze dłużej niż ja

Mile i katastrofy

Spacerom na plaży w Świnoujściu

Z tych muszelek
ziarenek piasku
jantarów
ułożyć Twoje imię
wszystkim mewom
falom
cieniom i zdeptanym śladom
i tym krótkim
stycziowym dniami
nie rozbitym
o gwałtowny sztorm
czy o pożegnanie
z najdłuższym nawet
turnusem
– a tylko zatajonym w światłach
morskich latarni
i w dźwięku portowych syren

Kaleczyć milczeniem

ale i wspomnieniem
mile morskie
i katastrofy
lądowe
antykwariatem zużytych słów

Może wrócimy

Jankowi Tulikowi

Gołębie sprzedam jak leczę
A nawracały kilkakrotnie
nad ledwie ukojonymi
zakolami Jasiołki
długimi napadami
burz i wylewów

Wprawdzie południe
oplotkowane letnią dykteryjką
spieszyło się gdzie indziej
ale już w cieniu góry
pełnej geologicznych majstersztyków
można było penetrować
wody wolne od pstrągów
i oddawać się
nie tylko mocno przestarzałym
intelektualnym spekulacjom

Może wrócimy tam jeszcze
Choćby po kilka nut zapachowych
lata i łopianu

Furta otwarta

Zaczęta rozmowa

Między poetami i poetkami
najechny Pub Classic
opęda się od drinków
i muzyki legendarnego Dżemu

Właściwie ten wieczór
zaszedł tak daleko
że nie mogło być powrotu

do zaczętej rozmowy

A nawet więcej
ten wieczór
rozsiadł się już niepokojąco
i zbyt długo we mnie

Jakby tej zaczętej rozmowy
– w dymie gościnnego grilla –
przerwane zdanie
nie wiedziało
do czyjej
dokleić się
nadziei



Irena Tetlak

posucha

brunatne zboża dojrzałe do zbiorów
odslaniają rżyska o strukturze popiołów

podobno ostatnio rodzą się same córki
wojny nie będzie – mądrość ojców

głosi pociechę gdy w spichlerzach puste kłosa
rude (jak wiewiórki) słomiane warkoczce

ogorzałe – splecione niczym ludzkie losy

prosto z Afryki

sierpniowe upały w nadmiarze
jak uchodźcy w tunelu
napływają szerokim frontem
wypaleni żalem

pragną
wygaszenia – temperatury
na granicy wrzenia

oswajanie motyli

dzisiaj spadła ostatnia gwiazda
nie mam już ani jednej
prośby
marzenia do spełnienia
nie potrzebuję wszechświata
do oswajania

wystarczy twoja dłoń

jednostronicowa historia

nie potrzebuje drukarki 3D
nie ma drugiej strony
o trzeciej nie wypada nawet marzyć

nie ma nic w sobie więcej
co można by zataić albo uwypuklić
prosta jak jeden dzień z życia pantofelka

to my śmiertelnicy

lepimy garnki
malujemy obrazki
wspinamy się po graniach
rozbieramy na czynniki pierwsze
nasze myśli
kłamamy jak z nut
nosimy stygmaty

i nawet bywamy święci

Janusz Orlikowski

Jeszcze o miłości słów kilka

„O! Mistrzu!” rzekłem, „I któż są te dusze,
Tak udręczone w ciągłej zawierusze?”

Boska komedia Dantego jest z pewnością tą pozycją w dziejach literatury, która w sposób najważniejszy opowiada o kondycji ludzkiej w kontekście chrześcijańskiego zbawienia. Piekło tam przedstawione ma charakter dość jednoznaczny, jakkolwiek byśmy dziś się z tym zgadzali, bądź nie. Jak to się ma do stanu faktycznego, czyli tego ustanowionego przez Boga, to już rzecz inna.

Nie mamy właściwie żadnej wskazówki, poza wolną wola, z czego jednak możemy wysnuć jeden wniosek. Skoro wolna wola to w dużej mierze nasz rozum, ma on tu wiele do powiedzenia. Dante pisze: *„ta właśnie męka króci / cielesne grzechy tych, co potępieni / ponad swój rozum wywyższyli chuci”*. Ale one mogą mieć, by tak rzec, różny charakter, dlatego też ustanawia kolejne kręgi piekła w zależności od tego jak widzi, by tak rzec – poziom grzechu, czyli rodzaj pożądania, który grzesznikiem powoduje.

Nie jest moim zamiarem zastanawianie się nad tym, czy kolejne kręgi odpowiadają ich adresatom i tym samym są adekwatne do „jakości” grzechów, poczynił to Dante zgodnie ze swym sumieniem. Interesuje mnie natomiast przypadek szczególny, ten który z pewnością jest osią uwagi każdego wnikliwego czytelnika. Chodzi o postaci Franceski i Paola pojawiające się w księdze drugiej piekła. Są tam, jak znamionuje księga, grzesznicy z miłości. Pieśń V ma podtytuł – Krąg II, Minos. Grzesznicy z miłości. Francesca z Rimini - co świadczy o tym, że postaci Franceski i Paola (jej kochanka) są traktowane przez Dantego w sposób osobny, a tym samym szczególny.

Zanim jednak o tym, spójrzmy mimo wszystko i tylko dla kolorytu na rodzaj postaci, które pojawiają się wcześniej. W pieśni III Wergiliusz oprowadzający autora pokazuje mu tchórzy, a tu Celestyna V, Charona, wkraczamy przez bramę piekielną do przedpiekła. Pieśń następną mówi o niechrześcijańskich, bohaterach, poetach i filozofach pogańskich. Tu Dante spotyka między innymi Homera, Horacego, Owidiusza, którzy teraz, by tak wnioskować, opatrzą się myślą: „Mówiąc o rzeczach niejednych z zapałem, / o których milczeć tak pięknie w tej chwili, / Jak było pięknie mówić, gdzieś byli”. A zatem ich grzechem było to, że odważyli się myśleć? I prawdą jest, iż jest to grzech? Wielu kolegów po

piórze z pewnością zachnie się teraz. Co ty człowieku insynuujesz? A jednak to prawda. Bo przecież, jak mówi powyższy cytat: nasze emocjonalne, rozumowe, intuicyjne rozpatrywania spraw świata tego mogą okazać się niczym wobec Prawdy, którą zna tylko Bóg i która tylko w sytuacji naszego sam na sam wobec Jego oblicza zostanie ujawniona w Słowie. My, przez całe swoje życie, tylko w jakiś sposób to odczuwaliśmy intuicyjnie, ale nikomu nie udało się tego nazwać – słowem. Tym słowem przez duże S.

Kochani poeci i filozofowie pocieszymy się tym, że wyżej (czyli niżej w kontekście stereotypowego pojmowania piekła) Dante w pieśni V widzi zbrodnie z miłości. Przy czym nie chodzi tu o miłość sensu stricto, a o pożądanie. Wergiliusz pokazuje Dantemu Semiramidę pragnącą zaspokoić kazirodcze pożądanie wobec syna. W tym celu, dzięki swej władzy, prawem dozwoliła zawarcie związków małżeńskich między matką a nim właśnie. Naszemu autorowi pokazuje Wergili rozpasaną chuć Kleopatry, a także Heleny i Parysa – sprawców nieszczęść Troi oraz zjawiają się także Tristan i Izolda. On, błędny rycerz, i ta legenda mająca z pewnością na celu przygotowanie czytelnika do – pojawienia się w piekle Franceski i Pawła (że pozwolę sobie na spolszczenie) będącyymi postaciami rzeczywistymi.

Franceska była córką Wideona z Polenty panującego w Rawennie. Przez ojca była zmuszona do wyjścia za mąż za Jana Maletastę, pana Rimini, ułomnego i szpetnego. Uprzednio jednak jej względy pozyskał młodszy brat Jana, Paweł, który był młodzieńcem pięknym i pociągającym. Mąż nieopacznie nakrył żonę na potajemnych pieszczotach i – obydwójce przebił szpadą. Sprawy to, które w rzeczywistości miały miejsce. Autentyczna miłość Franceski i Pawła, niechciane małżeństwo tej pierwszej z Janem i zabójstwo tegoż starszego brata, kochanków. Opowieść jak z legendy, stąd z pewnością poprzedza ją Dante widzeniem w piekle Tristana i Izoldy.

A w nas się coś buntuje: dlaczego Dante umieścił w II kręgu piekła Pawła i Franceskę? Przecież, jak wiemy z historii, łączyła ich autentyczna miłość. To jej ojciec był powodem nieszczęścia i to on w piekle winien się znaleźć. Na bazie tych myśli dzieje się wyodrębnienie tych dwóch postaci we wprowadzeniu do Pieśni V. Nie sytuuje ich Dante, by tak rzec, w jednym worku z grzesznikami z miłości, ale pojawia się anons osobny – Francesca z Rimini, co z

pewnością ma świadczyć o osobności tego przypadku. Czy autor ma wątpliwości co do obecności tych dwojga w piekle? Gdyby tak do końca było, oni by się tam nie pojawili. Czy więc dobrą odpowiedzią będzie to, że grzech ich polega na tym, iż ona zamężna oddaje się innemu? Poniekąd można sądzić, że tak. Tak przecież stanowi Kościół. Skąd jednak to odosobnienie tego przypadku, skoro wszystko podlega takim a nie innym regułom? Skąd ten zachwyt zjawiający się w słowach mówiących o Francesce i Pawle „A jak gołębi para szybko leci”? To przecież nijak nie można czytać, niż zwiastun czegoś dobrego, wniosłego. A przecież to piekło. Co tu jest grane?

Dante za sprawą Wergiliusza przysłuchuje się relacji Franceski i Pawła. Wyznają szczerze, że podczas lektury opowieści o sławnym Lancelocie, rycerzu głośnym na dworze króla Artura, bohaterze sławnego romansu z żoną króla, Ginewry, zadziało się tak:

*Gdyśmy czytali, ile jest uroku,
Ile rozkoszy w pocałunku lubej -
Oczy się nasze nawzajem spotkały.
Ten, co już odtąd wieczny przy mym boku,
Powstał niepomny na me cudze śluby
I pocałował mnie w usta drżący cały.
Pisarz tej księgi był nam Galeotą.*

Galeota to pośrednik tajnych miłostek. We Włoszech za życia Dantego każdego pośrednika lub swata w okolicznościach miłosnych nazywano Galeotą. No i dalej pojawia się to rozbrajające, a jednocześnie bardzo prawdziwe:

Już żeśmy więcej w tym dniu nie czytali.

Co na to Dante? Padł jak martwy. A jednak postanawia umieścić kochanków w piekle. Czyżby tym samym sprzeniewierzył się miłości? Czy też jak mówią niektórzy komentatorzy był zgodny z nauką Kościoła, która nie uznaje związków poza małżeńskich? A może rzecz ma się inaczej? A jeśli inaczej, to by rzecz musiała dotyczyć samego sensu tej miłości.

Nim jednak o tym warto wspomnieć o reakcji kochanków na to, co oferuje im Dante, czyli współczucie. Oni mówią: „Gdybyśmy śmieli wznieść nasze wołanie / ku Panu świata i gdyby On w niebie / Przyjął je raczył, wnet byśmy oboje / Prosilili Jego o pokój dla Ciebie”. Są wdzięczni Dantemu za jego podejście do nich.

Co więc autorem powodowało, że jednak pomieścił Franczeskę i Pawła w piekle? Jest bowiem w pewnym momencie zdezorientowany i pyta:

*Jak was snadź miłość przywiodła oboje
Tajną wzajem głąb serc waszych czytać?"*

Dlaczego tak się stało, że przecież prawdziwa miłość spowodowała to, że wiodący go po piekle Wergiliusz nakazuje mu widzenie ich obojga tam właśnie?

Odpowiedzi udzielają mu kochankowie w słowach, bo oni już wiedzą. Są w piekle i rozumieją z jakiego powodu: „Nie ma większego cierpienia / niżli wspominać szczęście wśród niedoli”.

Ale co to oznacza? Jak mamy to rozumieć? Czy nie jest jedyną pociechą wspomnianie szczęścia właśnie w niedoli? Przecież, gdy jesteśmy w jakimś „piekle doczesnego życia”, gdy jest nam źle, to częstokroć jedyną pociechą jest dla nas właśnie wspomnienie chwil szczęśliwych. To nam dodaje otuchy. Czy tak? Czy to tylko pozory i ucieczka przed rzeczywistością? Gdy zdobędziemy się na bezkompromisową szczerość wobec siebie uznamy, że to faktycznie tak: pozory i ucieczka. Bo przecież, oprócz tego że wspomnienia to już świat obecnie nieobecny, to również nierzeczywisty, gdyż zawsze jest obarczony naszym myśleniem o nim, które ma to do siebie, że idealizuje. To co było poddane wiwisekcji myśli staje się obrazem zafałszowanym poprzez nasze bezkarne nim manipulowanie. To co było, już było i nic tego nie zmieni poza wspomnieniem, które tylko wtedy może nim dowolnie dysponować. A zatem i doznane szczęście upiększamy jeszcze. To jednak tylko powierzchwnia przekazanej przez Franczeskę w tym sławnym sformułowaniu myśli.

*Nie ma większego cierpienia
niżli wspominać szczęście wśród niedoli*

Jaki więc jest istotny tych dwóch wersów sens? Czy tylko taki, że kochankowie będąc w piekle nie mogą doznać szczęścia, tego duchowego i cielesnego jaki był dany im za życia, tu na ziemi? Ano tak, tylko dlaczego? Bo umieścić ich Dante w piekle? Tak, tylko ponownie dlaczego? Gdyby znaleźli się w niebie – wszystko byłoby w porządku. Zmartwychwstanie ciałem, według religii chrześcijańskiej by to gwarantowało. O co więc Dantemu chodziło? Co kryje się w sensie tego sformułowania? Otóż samo ono. Zauważenie tego faktu. Franczeska widzi, że pożądanie jakim darzyła Pawła stało się powodem ich nieszczęścia, że pożądanie stało się powodem ich niedoli, ich wzajemne pożądanie. Gdyby nie ono, nie mogłaby sformułować tej myśli, a tym samym ich los by działał się w niebie. Franczeska zauważa, że głównym powodem ich cierpienia było to,

że - pożądali siebie nawzajem, ona i Paweł, że było to dla nich dobro, którym się kierowali – bo jak inaczej by mogła powstać ta myśl? Pożądali, a więc ich miejsce jest tam gdzie się znaleźli. I w istocie tylko wtedy: nie ma większego cierpienia. Skoro Franczeska mówi, że większego cierpienia nie ma, to znaczy, że przede wszystkim to nią powodowało, tak jak i nim. Bo tylko pożądanie cierpienie powoduje. Gdyby nie ono, jego by nie było.

Czy to oznacza, że Franczeska i Paweł winni darzyć się miłością bez – by tak rzec – obrazowania tego ciała? Nic z tych rzeczy. Ciało to wynik duchowych zapatrywań. Skoro one tak powiedziały, w moim mniemaniu, tak być powinno. A wszelkie słowa są w tym momencie niepotrzebne i będą świadczyć przeciw. Bo są chęcią usprawiedliwiania zaistniałych zdarzeń. A skoro tak, to tym samym wyznaniem poczucia winy, tak jak to się zadziało w przypadku Franczeski. To przecież one są odpowiedzią na to, dlaczego Dante umieścił tych dwojga w piekle. Czyż nie?

Gdyby Franczeska nie wypowiedziała słów: *Nie ma większego cierpienia...* to by oznaczało, że w żaden sposób nie czuje się winna zaistniałej sytuacji, czyli wzajemnej miłości jej i Pawła. To by też oznaczało – i to najważniejsze – że głównym źródłem ich miłości nie jest pożądanie, a miłość jako taka. A ta – nie ma znaczenia czy dzieje się w niebie, czy na ziemi – jest wartością samą w sobie. Wtedy ma charakter Boży. Charakter miłości, którą do siebie czuli ci kochankowie, wnioskuje się, był typowo – by tak rzec – ziemny, gdzie pożądanie, tak czy inaczej, zjawia się na planie pierwszym. Odczuwanie cierpienia przez Franczeskę o tym jednoznacznie świadczy. Te dwa wersy wypowiedzi kochanki Pawła, które wypowiedziała... Gdyby nie one?

Co by się stało? Ano Wergili nie mógłby powieść Dantego ku Franczesce i Pawłowi, bo by ich po prostu tam nie było. Tak uważam. Nie byłoby za co umieścić ich w piekle. Za to, że się kochają? To przecież absurd, skoro Bóg jest miłością.

A tak On będzie strzegł zawsze pewnej wyższości pierwiastka duchowego nad cielesnym, pomimo że i cielesny jest mu tak naprawdę miły. Ba jest dla niego bardzo istotny, skoro sam siebie postanowił ucieleśnić w postaci Jezusa Chrystusa.

Stąd wniosek, że gdyby Franczeska nie wypowiedziała tych słów o cierpieniu ciała ich postaci by mogły bez żadnych zastrzeżeń znaleźć się w niebie. Tak, to, jak domnimam, prawda. Bowiem to by oznaczało, że mamy tu do czynienia z miłością sensu stricto. Żadne wspomnienie nie powoduje cierpienia, nie tworzy sytuacji, która by zakłócała niebo.

Czy to oznacza, że milczenie w miłości jest oczywiste? Poniekąd tak, lecz równocześnie znaczy to, jak i ku czemu prowadzi. Czy

ku jej utwierdzeniu? Czy jest jej zaprzeczeniem? W obliczu Boga liczy się tylko prawda. Wiedziała Franczeska o tym i że nic tu ukryć nie jest w stanie. Powiedziała więc to, co powiedziała. Jeśli to było faktem, nie miała innej możliwości. Stwierdziła, że:

*Nie ma większego cierpienia
niżli wspominać szczęście wśród niedoli.*

Powiedziała tym samym, że ceni miłość cielesną z Pawłem ponadto, z czym spotkała się w sytuacji Sądu Ostatecznego. Tu nie muszę tłumaczyć, że na tym polegał jej grzech.

Gdyby milczała, Dante miałby ten problem rozwiązać inaczej, tak podejrzewam. Jej milczenie bowiem, by mogło wskazywać – o co to jestem pytana? Co jednak zaistnieć nie mogło, bowiem Bóg wie wszystko. A zatem skoro powiedziała, ponad wszelką wątpliwość, tak się zadziało. I inaczej być nie mogło.

W kontekście rozważanej tu sytuacji warto zwrócić uwagę na rzecz jedną. Na problem naszej cielesności, który częstokroć jest pojmowany w ramach chrześcijaństwa jako tabu, czyli duchowość albo cielesność. Nic z tych rzeczy. Jedno dopowiada drugiemu. Cielesność to również dobra droga do Boga. On o tym wie, by się nie ucieleśniał w postaci Jezusa. *Boska komedia* Dantego mówi nam tylko o tym, że przed tym towarzyszyć temu ma spojrzenie duchowe na związek, który zwieramy. Jeśli pożądanie nie gra tam pierwszych skrzypiec, to jest w porządku. Jeżeli nie dzieje się *Nie ma większego cierpienia / niżli wspominać szczęście wśród niedoli*, to znaczy, że miłość zadziała się faktycznie.

Janusz Orlikowski



Rys. Barbara Medajska

prof. Bolesław Faron

Bronek z Obidzy (I)

*Może i jest w tym trochę racji,
że gdzie bym nie był, o czym gadał
zawsze do gór słowem powracam,
górną nutę opowiadam...*

„Wniebogłosy”

1.

Kiedy zastanawiałem się nad tytułem tego tekstu, po krótkim namyśle doszedłem do wniosku, że najtrafniej będzie go nazwać *Bronek z Obidzy*. Tak mi się bowiem przedstawił Bronisław Kozieński, kiedy spotkaliśmy się pierwszy raz przed laty w Limanowej na imprezie *Poetyckie Ogrody*, na którą zmobilizował mnie nieżyjący już redaktor Radia Alfa Ryszard Rodzik; pod takim pseudonimem drukuje swoje tomiki poezji. Przypnieć muszę, iż bardzo mi ta formuła literackiego pseudonimu odpowiada, bowiem kryje w sobie bogatą treść. Po pierwsze – Bronek – zdrobnienie imienia Bronisław sugeruje, że jest to ktoś bardzo bliski, bezpośredni, bez dystansu, po prostu „swój chłop”. Pochodzę z okolic niezbyt odległych od miejsca urodzenia Kozieńskiego. U nas też się mówiło Józek z Wolicy, Władek z Jastrzębia, czy Bronek z Karczysk o kimś, kogo się znało, traktowało jako swojego. Tak się też przedstawiali młodzi ludzie w bezpośrednich kontaktach. Po wtóre – sygnalizuje miejsce pochodzenia autora. Obidza – to miejscowość położona w Beskidzie Sądeckim, w gminie Łącko między Dunajcem a zboczami Radziejowej, w malowniczych górskich dolinach, wyrzeźbionych przez rwące potoki, wśród których największy nosi nazwę Obidzki Potok. Atrakcją turystyczną jest tutaj wodospad w przysiółku Majdan; miejsce walk partyzanckich z drugiej wojny światowej. Przystop, oddalony od Jazowska i Dunajca o około 7 km. W Obidzy stacjonowali w roku 1944 partyzanci radzieccy pod dowództwem płk Zołotara. Dzisiaj miejscowość ta liczy ok. 1500 mieszkańców, posiada własną parafię. Niegdyś uboga wieś, dzisiaj podobnie jak mój rodzinny Czarny Potok, wygląda zasobnie. Schludne obejścia, nowe domy, gospodarstwa, w których uprawiają rolę w trudnych górskich warunkach głównie ludzie starsi, gdyż młodzież podejmuje najczęściej prace sezonowe za granicą i budowlane w kraju. Dzięki tym wyjazdom powstają nowe obejścia, wieś pięknieje. Inaczej niż w Czarnym Potoku; tu o dobrobycie decydują nowoczesne sady, głównie jabłoniowe, które dzisiaj zajmują każdy skrawek uprawnej ziemi. Przypominam tu fakty, gdyż są one – w moim przekonaniu ważne, istotne

dla zrozumienia fenomenu poezji tego autora.

Bronek z Obidzy urodził się 18 września 1963 roku. Jego rodzice Eugeniusz Kozieński i Maria z domu Lizoń gospodarują na niewielkim dwu hektarowym górskim gospodarstwie. Bronisław po ukończeniu tamtejszej szkoły podstawowej został skierowany przez ojca do Zasadniczej Szkoły Zawodowej w Starym Sączu, do której uczęszczał w latach 1979–1981, uzyskując uprawnienia stolarskie. Od roku 1982 do 1984 odbył obowiązkową służbę wojskową w Rembertowie. Po powrocie z armii podejmował w najbliższej okolicy prace stolarskie (m.in. w Czarnym Potoku, Wolicy), wykonywał głównie modne wówczas boazerie w nowobudowanych domach. W 1986 roku rozpoczął własną działalność gospodarczą. Po roku 1990, kiedy otworzyły się możliwości podejmowania pracy na Zachodzie, wyjeżdżał do robót budowlanych do Danii, Francji, Niemiec i Norwegii.



Foto: Bolesław Faron

prof. Bolesław Faron i Bronek z Obidzy

Mieszka na osiedlu Smalarkówka nad Obidzkim Potokiem, który podczas burz zamienia się w groźną rwącą rzekę. Dwupiętrowy okazały dom zbudował sam. Zamieszkuje w nim z żoną Krystyną, z synami Łukaszem i Mateuszem oraz z wnukami Bartkiem i Julią. Dla jednego syna stawia – jak się tutaj mówi – nowy dom. Przez potok wybudował własnymi siłami kładkę, która ułatwia mu kontakt ze wsią położoną po drugiej stronie rzeki.

Gdy odwiedziłem go w lipcu 2015 roku, spędziliśmy nieco czasu w jego domu na rozmowie o najnowszych tekstach, które napisał na początku miesiąca. Z kolei udaliśmy się do przysiółka Majdan nad urokliwy wodospad i gospodarstwa jego rodziców. Witają nas serdecznie. Rześka, mimo sędziwego wieku, matka i ojciec, widać, że po przebytych chorobach oraz młodszy o 15 lat

brat poety, który pracuje na budowach na Śląsku. Gospodarstwo trzyma mocno w rękę – jak widać – matka, nie straszne są dla niej górskie zbocza, na których uprawia zboże, ziemniaki i inne produkty. Podczas rozmowy wracają wspomnienia z dawnych lat, o tym jak się zbierało latem runo leśne, dzięki czemu można było uzupełnić skromny budżet domowy, o wyjazdach furmanką do 20 km po siano dla zwierząt, o ciężkiej pracy ojca w tutejszych lasach, które okalają wieś. To zapewne zdecydowało o wyborze zawodu dla syna Bronisława.

2.

Na moje pytanie skierowane do Bronka, gdzie przy tak pracowitym życiu, przy zajęciach zdominowanych przez pracę fizyczną, przy trudach związanych z przemieszczeniem się za pracą za granicą czas na pracę twórczą, na pisanie, opowiada następującą anegdotę. – Pisać zacząłem po czterdziestce. Miało to miejsce w Norwegii w Trondheim. Odrzuciłem alkohol, który mi od czasu do czasu towarzyszył. Koledzy oddawali się różnym rozrywkom po pracy, ja przeczytałem już wszystkie dostępne w języku polskim książki, gazety, zacząłem więc zapisywać na kartach z worków po cementzie moje myśli, doznania, przeżycia, obserwacje, które opublikowałem po powrocie do kraju w Drukarni Goldruk w Nowym Sączu pt. *Orły nad Sokolicą*. W którym to było roku, trudno ustalić, gdyż wydawca nie umieścił na tomiku daty edycji. Może w 2009?

Pierwsze wydanie swoich poezji Bronek z Obidzy zaopatrzył następującym komentarzem:

„Przedstawiał się nie będę, wszak jest to wydanie dla znajomych. Powiem tylko, iż każdy z czytających powinien coś znaleźć dla siebie, jak również o sobie. Znajdzie tu osoby, jak np. cygan z Maszkowic czy Józef Kuraś. Poczyta o powstańcach z Ukrainy. Znajdzie wiele regionów, najwięcej jest jednak o górach i dlatego jedna trzecia tekstu jest napisana gwarą. Czy ta gwara jest dobra? Ocenicie, jest jaka jest.

Wybaczcie ale nie ma tu prawie nic o świętach, choince, czy śniegu. Powód tego jest prozaiczny, w tym okresie jeszcze nie pisałem. To, co tu jest, zostało napisane na przełomie pięciu miesięcy. Tych, co będą zainteresowani dalszym ciągiem, zapraszam przed Internet. Zacząłem pisać na Sympatii (tylko przez wzgląd, iż mam bloga), poznałem tam wiele

wartościowych osób i to one właśnie skłoniły mnie do wydania tomiku. Znajdziecie mnie tam pod Nickiem – luki172. Jestem też znany na kilku portalach poetyckich, zapraszam... (tutaj dane autora – przyp. A.D.)

Bronek...

Przytoczyłem w całości to wyznanie poety, gdyż wydaje mi się ono ważne dla określenia początków tej twórczości, jej genezy. Wynika z niego, że Bronek z Obidzy począł funkcjonować najpierw w mediach elektronicznych, w Internecie, oprócz Sympatii, na portalach poetyckich (m.in. *pisarze.pl*, *Pol Cafe*, *Poezja Polska*, *Fabryka Librorum*). Tu zdobył dużą poczytność, wyróżnienia, nagrody, tą drogą trafił do szerokiego grona miłośników poezji. Jego wiersze są czytane, komentowane. Jest zapraszany na spotkania autorskie. Miały one miejsce m.in. w Łącku, Nowym Sączu, Krakowie, Warszawie. Dzisiaj jest obecny w obu obiegach czytelnicy, i w Internecie, i w książkowym. Jest bowiem autorem trzech tomów poezji, czwarty znajduje się w przygotowaniu. Poza wspomnianymi *Orłami nad Sokolicą* wydał również w nowosądeckiej Drukarni Goldruk *Nie szkoda gadać* (2010) oraz w Krakowie (2014) w Wydawnictwie Agharta tom *Strefa ciszy*, zbiór czwarty pt. *Wiklinowe ptaki* przygotowuje krakowskie Wydawnictwo Edukacyjne.

Debiutancki tomik został wydany własnym sumptem w dość amatorskiej formie. Bez daty i miejsca edycji, bez informacji o wydawcy i ISBNie. Dwie ostatnie noty uzupełniono później, odpowiednią wkładką. Te niedoskonałości edytorskie nie rzutują oczywiście na jakość zamieszczonych tu tekstów. Niezależnie od skromnej zapowiedzi autora, trzeba stwierdzić, że *Orły nad Sokolicą* sygnalizują pojawienie się ciekawego zjawiska poetyckiego. Tak je określił poznański poeta Jerzy Beniamin Zimny:

Poezja, która ocala to co znika, ginie bezpowrotnie, mocno związana z człowiekiem, regionem, kulturą środowisk – jest poza podejrzeniem. Nie ważne, jakim uderza słowem, ważne że słowem stąd, z wczoraj przede wszystkim, na dziś, i na uchowanie w przyszłości nieodgadnionej. (cyt. za „Almanachem Łąckim” 2010, nr 13, s. 38).

Przy czym autor broni się przed zaszufladkowaniem go jedynie do kategorii poetów regionalnych, poetów „małej ojczyzny”. Podejmuje bowiem w swojej twórczości poza doświadczeniem i emocjami wyniesionymi z dzieciństwa, młodości, z krajobrazu Beskidu Sądeckiego, Pienin, Tatr i Górców również tematy szersze, a więc – życia, śmierci, wyborów moralnych, itp. Konfrontuje miejsca swojej pracy zarobkowej, tamtejsze przemysłowe krajobrazy ze swoimi górskimi. Toteż stwierdził w metapoetyckim wyznaniu:

Pewnie jest w tym racja, że moje słowa, myśli, a co za tym idzie i tematy, najczęściej związane są z górami, stronami gdzie najczę-

ściej przebywam. Nie trzeba mi szukać pomyśłów, obrazów u innych, mam to zawsze pod ręką z racji dorobku życiowego, w którym i alkohol pozostawił swoje piętno. Także śmierć bliskich miała wpływ na pewien rodzaj wrażliwości, bez której w poezji obejść się niepodobna. (cyt. za „Almanachem Łąckim” 2010, nr 13, s. 39).

Potwierdza to *Halny*, wiersz pisany gwarą, choć autor się od tego odżegnuje, utrzymany jest w młodopolskiej atmosferze wierszy Kazimierza Przerwy Tetmajera, prezentuje modernistyczny nastrój, halny zwiastun śmierci. Oto jego fragmenty:

*Rysy i Gerlach wbił pazury
jak łrzeł cai się do skłoku
złowiescy holny pelon mroku
skszydłomi okrył cale glory
[...]
łod wiekow tak się halny bawi
godajo ze to zwiastun śmierci
blo kiedy zniknie w gorski perci
zawdy žalobę płozostawi*

Inny tekst, którego tytuł *Wsi spokojna* nawiązuje do pieśni Jana Kochanowskiego, dotyczy rzeczywistości współczesnej. To scena obrazkowa na wsi pod sklepem, kioskiem z piwem, gdzie wsparte przez pieniądze unijne „Równo leży chłopstwo płokotem”. Ostra, pisana gwarą satyra na pijaństwo na wsi, charakterystyczne nie tylko dla okolic nad Dunajcem. Aluzji literackich w tym tomiku znajdziemy więcej, bo i „sen nocy letniej” w wierszu *Deszcz nocy letniej*, i „nie wpaść na dzień do Tomaszowa” w *Okręcie wspomnień*, czy „jak Alicja przemierzamy baśnie” w wierszu *Raj utracony*. W pierwszym tomie Bronek z Obidzy nie eksploatuje zbytnio najbliższej okolicy, Obidzy, Dunajca. W jego przestrzeni poetyckiej pojawiają się nieodległe Pieniny, Tatry (poza wspomnianym *Halnym*, *Krzyż Giewontu*), Podhale (*Ludźmińska Pani*). Doświadczeniami wyniesionymi z „małej ojczyzny” inspirowane są wiersze o charakterze refleksyjnym jak *Orzeszek* (pokora, pozostawanie na małym), *Ostatnie granie*, czy *Karuzela życia* („przez życie ze spuszczoną głową cichutko bez dobo-sza kroczyliśmy zatłoczoną drogą z palcem na ustach cicho-sza”). Podobne źródło mają wiersze o przyrodzie np. *Świycza czy ogarek*, nawiązująca do tutejszej tradycji, zachowań podczas burzy:

*błysk i pieron trafił w drzewo płośed płomruk
ku dolinie
dziadek zrobił krzyz na cole rusoł szybko ku
chalpinie
babcia gromnicke wyjola płomień w dłoniak utulula
trwłoznie płośa do łokionka drzącóm renkom
płostawiuda*

Zew natury zaś to nostalgiczna pieśń o przyrodzie:

*płyńie po górach pieśń wajdeloty
sławiąca piękno lasów, strumieni*

*przybrana tchnieniem wielkiej tęsknoty
osuszająca lody z kamieni*

Wskazuje ona na dużą wrażliwość poety na zjawiska przyrody, która inspirowała do przemyśleń, refleksji o życiu, trwaniu.

Orły nad Sokolicą są wielotematyczne. Potwierdzają na możliwości artystyczne autora, wyznaczają niejako kwestie, które będzie rozwijał w następnych tomach. Wśród tematów ważnych trzeba jeszcze wymienić wiersze egzystencjalne, jak *Pod szczytem*, *Dwa światy*. Pierwszy zawierający refleksje o możliwości realizacji zamiarów, drugi natomiast o żywych i umarłych, wiersz inspirowany listopadowym świętem zmarłych:

*świeża jedlina przybrana kwiatem
o jednej porze w środku jesieni
przychodzi lato w miasta z kamieni
łącząc świat żywych ze zmarłych światem
[...]
zapłoną ogniem polskie cmentarze
mrok nocy ciemnej świeca odgoni
i jak latarnia przy morskiej toni
zbląkanym duszom drogę wskaże*

Epizodycznie pojawiają się też teksty o tematyce politycznej. Przy tym trzeba od razu powiedzieć, że nie mają one charakteru agitacyjnego. Autor nie prezentuje jakiś zdecydowanych postaw czy poglądów. Kwestie te traktuje raczej jako możliwość wyrażenia swej pacyfistycznej postawy czy dylematów moralnych. Charakterystyczny w tym względzie jest utwór o pamiętanym jeszcze w tych okolicach Józefie Kurasiu „Ogniu”, którego oddziały po wojnie docierały do nieraz odległych od jego gniazda, Podhala górzystych wiosek na Sądecczyźnie czy w limanowskim. Przy czym w wierszu *Woda i Ogień* autora interesuje nie tyle sama walka o wolność – jak się dzisiaj mówi „żołnierzy wyklętych”, co dylematy moralne wynikające z zabijania:

*przepłukać wodą szerniałą duszę
po rozgrzeszenie stanąć w szeregu”*

i dalej:

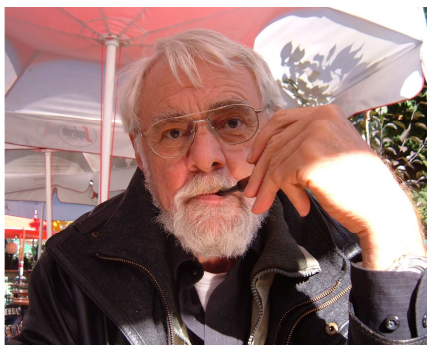
*przed dwoma przyjdzie stanąć sądami
pierwszy nie będzie ciągnął się długo
Pan go oceni czym był sługą
ludzie go sądzić będą latami*

W podobnym tonie utrzymana jest *Pieśń banderowca*, nawiązująca o walk band UPA w Bieszczadach po wojnie. Pada tutaj nazwisko krwawego dowódcy sotni Tryzub i Waltera generała. Całość kończy refleksja, „czy pamięć o nich wraz z lasem zginie jak wypalony popiół z mielerzy”.

cdn.



Zamyślenia



Ateny wołyńskie

Na oblicze szkoły, na jej pełny obraz, wpływa nie tylko to wszystko, co składa się na jej dzień dzisiejszy, na współczesność wpływa nade wszystko jej przeszłość, nawarstwiające się osiągnięcia pedagogiczne i wychowawcze, znaczące w niej wydarzenia, które właśnie z czasem tworzą zespół wartości nazywanych tradycją szkoły. Rzecz w tym, aby pielęgnowała ona i rozwijała swą niepowtarzalną indywidualność. W ten sposób wplatają się w życie szkoły przeszłość z teraźniejszością i pożądana przyszłość. Tradycja ta staje się życiodajnym źródłem, na którym możemy budować płąsy i nadzieje – właśnie związane z przyszłością. Mówił o niej Norwid: *przeszłość jest to dziś, tylko cokolwiek dalej...* Szkoła to nie tylko mury, jej nazwa, to nie tylko klasy, dzienniki klasowe, dźwięk dzwonka. Pojmowana w ten sposób szkoła – to jak świątynia bez Boga. Tradycja szkoły to najważniejszy filar, na którym wspiera się nadzieja na przyszłość. Na tego rodzaju filarach jak właśnie tradycja, grono nauczycielskie, absolwenci – budujemy plany przyszłościowe. Połączenie bogactwa wiedzy i mądrości zdobywanej w szkole z chłonnością umysłową jej uczniów, to tworzy właśnie rzeczywistość szkoły, jej budującą nadzieję na przyszłość. Nie często z tego zdajemy sobie sprawę, chcąc zdefiniować pojęcie tradycja szkolna.



Liceum Krzemienieckie, właściwie Liceum Wołyńskie, do 1819 roku Gimnazjum Wołyńskie – zostało założone w roku 1805 przez Tadeusza Czackiego, wówczas wizytatora szkół guberni wołyńskiej, podolskiej i kijowskiej. Programem nauczania liceum

obejmowało elementarne wykształcenie do półwyższego oraz niektóre kierunki wykształcenia zawodowego. W przyjętym systemie szkolnictwa gimnazjalnego gubernialnego, wołyńskiego w zamyśle twórców; piszę: twórców, albowiem obok Czackiego, zainteresowanym Liceum Krzemienieckim był także Hugo Kollątaj, główny autor koncepcji pedagogicznej i organizacyjnej – miało ono ewoluować stopniowo ku uczelni wyższej i stać się w przyszłości ośrodkiem polskiego życia kulturalnego ziem południowo-wschodnich dawnej Rzeczypospolitej. Osiągnięcia Liceum w ciągu tych 120 lat – bo do roku 1939 – to dzieło zbiorowe licznych nauczycieli i wychowawców, kolejnych dyrektorów. Duszą szkoły był oczywiście Czacki, który niestety, ale zmarł przedwcześnie. Liceum Krzemienieckie otrzymało prawo nadawania niższych stopni naukowych i odegrało trudną do przecenienia rolę w rozwoju kulturalnym Wołynia, Podola i Ukrainy, przekształcając zwyczajne, kresowe miasteczko w Ateny wołyńskie. Koncepcja pedagogiczna wyrosła z oświeceniowego rozumienia roli nauki jako narzędzia postępu społeczno-gospodarczego kraju i z doświadczeń wniesionych głównie przez doświadczonego Kollajtę, kładło nacisk na wychowanie moralne i obywatelskie, zgodnie z rozumieniem zadań patriotycznych w kręgu Towarzystwa Przyjaciół Nauk (rozwijanie cywilizacji i kultury, zwłaszcza języka, przy poniechaniu jakichkolwiek akcji politycznych), tym że wszech miar ambitnym celem służyła nadzwyczaj solidna baza materialna, wyposażenie w pomoce naukowe itd. Oczywiście pierwszoplanową rolę pełniła tu bogata biblioteka, której trzon stanowił księgozbiór Stanisława Augusta. W roku 1811 utworzono przy Liceum drukarnię, zaś w 1818 roku działać zaczęła księgarnia. To wywarzało silne więzy uczniowskie ze szkołą, nie mówiąc już o tym, jak starannie dobierano selekcionowano nauczycieli. Oni to patrzyli przychylnym okiem na rodzące się formy samorządności wśród uczniów i charakterystyczną chyba tylko dla Liceum Krzemienieckiego atmosferę wspólnoty, niemalże rodzinnej koegzystencji wychowawców i nauczycieli z uczniami.

Wówczas program Liceum przewidywał cztery klasy poświęcone głównie nauce języków klasycznych i nowożytnych oraz trzy dwuletnie kursy z metodą nauczania zbliżoną do uniwersyteckiej, uzupełnione przedmiotami nadobowiązkowymi (m.in. bibliografia). Tu literaturę polską wykładali: K. Słowacki, A. Osieński, A. Feliński, J. Korzeniowski, utrzymując kierunek klasycystyczny, widoczny też w pracach literackich uczniów przedstawianych na zebraniach ich stowarzyszeń. Wymieńmy je: Towarzystwo Młodzianów Gimnazjum Wołyńskiego (1809-1814), Klub Piśmienniczy (1815-1816) upamiętnionego w poemacie heroikomicznym T. Zaborowskiego. Dalej: Towarzystwo Uczniów Liceum Wołyńskiego Ćwiczących się w Porządnym Czytaniu i Pisaniu (1818-1823). Istniały

oczywiście pewne błędy oraz anachronizmy w koncepcjach i ich realizacji, ale podniesione one zostały w licznych polemikach dopiero po zamknięciu Liceum Krzemienieckiego. Istniał konflikt na linii szkoła a władze państwowe. Krzemienieckiej „konkurencji”. Najbardziej przeciwny był Uniwersytet Wileński.



Jak już powiedzieliśmy – duszą Liceum był Czacki, niestety, ale przedwcześnie jego śmierć musiała mieć wpływ na sytuację szkoły. Do wybitnych wychowanków Liceum należeli: A. Andrzejowski, K. Godebski, M. Gosławski, J. Korzeniowski, F. Kowalski, A. Malczewski, T.A. Olizarowski, T. Padurra, J.K. Ordyniec, E. Sienkiewicz, T. Sierociński, S. Worcell, T. Zaborowski. Ostatnim kuratorem Liceum był H. Nowosiłcow i to za jego kadencji podupadło Liceum Krzemienieckie. Był to rok 1824. Liceum ostatecznie zlikwidowano w roku 1832, przenosząc majątek ruchomy oraz część wykładowców do nowo utworzonego uniwersytetu rosyjskiego w Kijowie. W latach 1822-1839 istniał w Krzemieńcu kompleks szkół (m.in. gimnazjum, seminarium nauczycielskie), nawiązujący do Liceum Krzemienieckiego tak nazwą, jak i pewnymi elementami tradycji, ale były to już Ateny wołyńskie. Coś umarło, coś się cofnęło. Dziś na progu nowego roku szkolnego, warto wrócić pamięcią do tamtego, coraz bardziej oddalającego się czasu. W tygłu ciągłych zmian w naszym szkolnictwie jest to niczym innym, jak żmudnym wyrąbywaniem chodnika kopalni, czasami właśnie w całkowitej ciemności. I brakuje w tym wszystkim jakiegoś olśnienia, a przecież mamy tak wspaniałe i mądre przykłady z przeszłości polskiego szkolnictwa. Nic dziwnego, że nad pokoleniami polskiej młodzieży z każdym nowym rokiem szkolnym ciężą bryły mroku, a pytanie, co dalej z polską oświatą, pozostaje bez odpowiedzi.

Kazimierz Iwossé

KOZETKA (3)



Życie w zenicie

Lato, szczególnie rozpalone i gorące, ma w sobie coś, co zdaje się nigdy nie kończyć. Jak woda w oceanach, energia słoneczna i wszystkie skarby Ziemi. Jak kamienie szlachetne, kruszce i minerały.

To pora roku, w której kultura zamienia się miejscem z naturą, nieprzekształconą i płynną.

Gabinety z kozetkami zostały zamknięte, mają przerwę wakacyjną, teraz w pozycji horyzontalnej są już wszyscy.

JOANNA FRIEDRICH

Odpoczynek i odprężenie służy pojawianiu się nowych pomysłów i idei. Wszystko dzieje się bez wysiłku, w naturalnym rytmie, wymuszonym przez temperaturę powietrza i stosunków międzyludzkich. Latem zbliżamy się do ludzi, wymieniamy poglądami, pokazujemy więcej skóry, częściej całujemy na powitanie i chętniej wysłuchujemy. Niektórym ułatwiają kontakty okulary słoneczne i kapelusze. Letnia kultura, to kultura bardziej osobista, jesteśmy blisko niej i siebie nawzajem: festiwale muzyczne i filmowe, rauty i koncerty pod gołym niebem. I ta obnażająca, jakże wiele – plaża. To już nie kawiarnia, w której, skubiąc ciastko, chowamy się za gazetą, ani czerni sali kinowej, która ukryje każdy rumieniec. To prawdziwy plac zabaw dla dorosłych. Język ciała w pełnym słońcu. Flirty z długo odkładanymi książkami trwają tu w najlepsze. W hotelach na całym świecie panuje nowy zwyczaj – w dobrym

tonie jest zostawić po sobie książkę dla następných gości.

Chyba najwięcej jest ludzi, którzy preferują tę porę roku, rozkwit natury, zioła, lasy, wczasy, pas równikowy, słońce i plażę. Smak przygody. O tej porze śmierć nie istnieje. W zenicie nie istnieją nawet cienie. O tej porze, potem, przypominają palmy bezludnych wysp żarzące się z ekranów laptopów i telefonów przez okrągły rok. Kalifornia, Malediwy, Seszele, Karaiby, Wyspy Kanaryjskie, Wyspy Zielonego Przylądka. Gdyby nie było tych miejsc, trzeba by je było wymyślić. Morza i oceany. My.

Z nogami w piasku i w wodzie, na zmianę, czytam – na zmianę – „Madame Bovary” Gustawa Flauberta i „Annę Kareninę” Lwa Tołstoja. Nocami zamieniam je na „Emmanuelle” Emmanuelle Arsan, którą z wiadomych względów najchętniej zabieram do łóżka. Do hotelowego łóżka i samolotu – też.

Czytam o kobietach, nie tylko dlatego, że sama nią jestem. Także, nie dlatego, że każda z tych książek, w swoim czasie, oskarżana była o obrazę moralności.

Moralność, zwłaszcza latem, ma krótki termin przydatności, często zamienia się miejscami z dyskrecją... artystów obchodzi tyle, co zeszlitoroczny śnieg, a geniusze, nie tylko nią, w ogóle się nie przejmują...

Zdaję sobie sprawę, że nawet geniuszom literatury łatwiej zbudować fabułę wokół postaci kobiecej.

Matryce powieści, całe tło społeczne, historyczne i kulturowe obraca się na krosnach kobiecej energii, kreacji, elegancji, tęsknot, dzieci, tych prawdziwych i tych artystycznych, sypialni, buduaru, partnerów, jadalni, kuchni, toalet, sukien, mody, ogrodów, pasji, tęsknot, marzeń i idei: „Idea (jak kobieta), to rzadkość, gdy któraś umknie, może już nigdy nie wrócić”.

...siedząc ze stopami w piasku, widzę małą dziewczynkę, która maszeruje w górę i w dół plaży, z dwoma wiaderkami – w górę z wodą, w dół – z piaskiem. Robota pali jej się w rękach. Niosąc piasek do wody, odnajduje jedyne puste miejsce na piasku, akurat na to, aby położyć swoje małe ciało. Odkłada na chwilę na bok wiaderka, kładzie się na plecach i pracowicie robi „orzelka”, podnosi się, ocenia efekt kiwając głową, zabiera wiaderka i wraca na trasę...

Dzieciństwo to niesamowity czas. Pełen idei, wdrażanych z marszu. Można wszystko. Jak na wakacjach. Dzieciństwo to magia, życie w bajce, która nie ma żadnych ograniczeń. Dobrze jest sobie o tym czasem przypomnieć...

...Nic dziwnego, że kiedy pełni wrażeń i promieni słonecznych wracamy do domu, jak co roku, rzeczywistość domowa, ta stała oprawa bieżącego życia, wita nas poufale, jak pies... a my, zdumieni, widzimy ją zupełnie od nowa.

Jerzy Utkin

doskonały

całkiem
zbędny
nadzorca
zbędny
bat i łańcuch

niewolnik
doskonały

pilnuje
się

sam

psalm skopanego psa

choćbym
kroczył ciemną

doliną

zła się nie
uleknę

bo mogę
liczyć na samego
siebie

nie ufam
nikomu

nikt
mnie więc
nie

zradzi

prawo

oczy

za oko

za ząb
wszystkie
zęby

najlepiej hurtem
razem z całą

głową

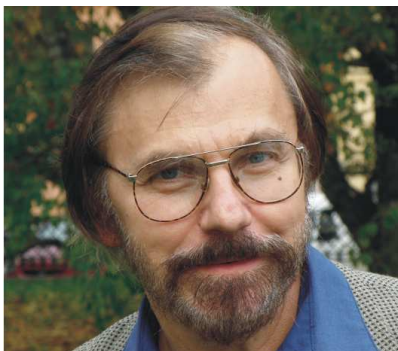
ci którzy krzywdzą
słabych i bezbronnych

nie zasługują
na śmierć

nazbyt

szybką

Listy do Pani A. (86)



Życie za jeden uśmiech

Droga Pani!

Pisałem w jednym z listów do Pani, że chciałbym wyprowadzić się z Warszawy; że zaczął mnie męczyć ruch, zgiełk, przestrzenie, środowisko literackie, w którym roi się od dziwnych osobników. Ale jak historia, tak i literatura potrzebuje nawozu. To wszystko rozumiem, ale jednak nie mam już ochoty być oborowym. Tkwić pośród snobów, beztalenci, głupców, intrygantów. Nie chcę generalizować, jest przecież cała grupa świetnych pisarzy, ale zagłuszanych przez nieprzebrane morze chwastów.

Kiedy się nad tym zastanawiałem, doszedłem do wniosku, że miejsca, w których spędziło się niemal całe życie, nie jest tak łatwo opuścić. Przecież to gleba, w którą zapuściło się korzenie, i choćby panoszyły się na niej chwasty, pozostaje bliska. I taka jest dla mnie Warszawa. Ta opisywana przez Prusa, przez Tyrmanda, i ta, którą obserwowałem od dzieciństwa, i widzę ją dzisiaj.

Co Pani o tym sądzi? Bardzo trudno jest od tego wszystkiego odejść, chociaż codzienność staje się uciążliwa, a nawet zaczyna budzić obrzydzenie. Do siebie samego. Zastanawiam się, skąd u mnie takie myśli? Przypomniał mi się w tej chwili taki dowcip. Oto dama lekkich obyczajów przyszła do lekarza i powiada, że ma katar. Lekarz ją bada i mówi: proszę pani, to nie katar. To syfilis. A ona na to: od razu wiedziałam, bo skąd u mnie katar...

Więc skąd u mnie takie myśli? To jakies zmęczenie materiału, psychiczne obezwładnienie, znudzenie... Pewnie się starzeję pomimo całej swojej młodzieńczej krotchwilności. Patrzę na niektórych swoich sąsiadów. Jeszcze kilka lat temu byli to ludzie w pełni sił. Dziś jeden z nich już nie wstaje z łóżka (moje marzenie z lat szkolnych), inny musi używać pampersów, kogoś z trudem prowadzą pod rękę... Myślę sobie, a co będzie ze mną, być może niebawem? Czy mam tkwić tu, gdzie jestem? A może coś w życiu diametralnie zmienić? Tylko po co? Ile upłynie czasu, kiedy i mnie dopadnie taka sytuacja demencyjno-pampersowa? Albo - wieczność, co w ostatecznym rozrachunku nie byłoby takie złe. Czasami nie mam nic przeciwko temu, a

niekiedy wścieka mnie ta iluzoryczność i niesprawiedliwość egzystencji.

To jednak z drugiej strony jest jakoś inspirujące, pobudza refleksje, daje przeżycie poetyckie. Bo poezja, to nie tylko poczucie roztkliwianie się nad kwiatkami, moralizowanie, bezkrytyczna wiara w ideologiczne konwencje, ale właśnie strach, traumatyczne przeżycia, wyciąganie z rzeczywistości niekiedy bardzo daleko idących wniosków. Poezja bierze się z doświadczenia, nie z prostych afirmacji tego, co ogół uważa za słuszne i piękne. Może dlatego jestem tak surowy w ocenach rzewnych wierszyków niektórych romantycznych poetess?

Mając głowę pełną podobnych rozważań pojechałem na plener literacki do Staszowa, organizowany - jak co roku - przez Stanisława Nyczaję i Benedykta Kozieła. Lubię jeździć w te same miejsca, bo one za każdym razem są inne. Tak też z przyjemnością patrzyłem na staszowski ratusz i rynek, chodziłem uliczkami, przesiadywałem w parku otaczającym szkołę, w której kwaterowaliśmy. Ale najciekawsze są spotkania z ludźmi. W tym roku było na plenerze kilka nowych osób, m. in. poetka z Tomaszowa Mazowieckiego Emilia Tesz, czy Kazimierz Ryk z Kielc autor jednego tomu wierszy. Z tym ostatnim dzieliłem pokój. Zaraz po przyjeździe zaczęliśmy integracyjne spotkania w podgrupach. A więc zebraliśmy z Kazimierzem Rykiem, Markiem Rakiem autorem fraszek, aforyzmów i haiku, poetą Romualdem Bielendą, Janem Lechickim także poetą, a z zawodu lekarzem... Niech Pani nie myśli, że zaczęliśmy jakąś morderczą libację. Nic z tych rzeczy. Wino „Kadarka”, whisky z dużą ilością wody mineralnej, a nawet palinka... Najważniejsze jednak były rozmowy, sytuacyjne fraszki, przyjazny humor literacki. I taka atmosfera panowała podczas tego całego literackiego tygodnia.

Miałem promocję „Pamiętki po nieobecności”. Prowadził ją Stanisław Nyczaj. Emilia Tesz odczytała fragment tekstu Anny Marii Musz o tym tomie, a potem ja sam czytałem wiersze. Dyskusja rozgorzała, kiedy odczytałem dwa utwory: „Westerplatte - XXI wiek” oraz „Rocznice” - teksty w których nawiązałem prześmiewczo do mitów historycznych. W pierwszym nawiązałem do wersyfikacji wiersza Gałczyńskiego pisząc o zagładzie świata, w drugim do szaleństwa na punkcie relikwii, nazywając je „przestrzelonymi na wylot gaciami bohaterów”. I rozpełtała się awantura. Szargam świętości, piszę o pijanych bohater-skich żołnierzach, lekceważę powagę i znaczenie walk za ojczyznę, i różne tam takie zarzuty. Żadne moje wyjaśnienia nie odnosiły skutku.

A potem to wszystko zaczęło mnie bawić. Nie jestem pierwszy ani ostatni z piszących, którzy „szargają świętości”. A ja bardzo szargać lubię... Ale spotkanie uważam za nadzwyczaj udane, obyczajnie łągodził muzyką świetny młody pianista Kamil Kondka.

Następnego dnia wieczór literacki miał przebieg czysto liryczny, a więc nie tak kontrowersyjny. Był to poetycki dialog na wiersze, w którym wystąpiła Magdalena Węgrzynowicz - Plichta oraz Benedykt Kozieł. Ich utwory bardzo dobrze się dopełniały. Muzyka w wy-

konaniu Kamila Kondka jak również śpiew młodej wokalistki Wiktorii Pikul potęgowały nastrój.

Ciekawe było spotkanie z prozaikiem Janem Chruślińskim, po którym to spotkaniu także rozgorzała dyskusja, niekoniecznie - jak to u nas bywa - merytoryczna.

Była też wycieczka do Rytwian i Sichowa. Piękny klasztor pokamedulski robi wrażenie. Pustelnia, w której chciałoby się zostać na dłużej. A w Sichowie niemal w sposób fizyczny czułem Pani obecność. I patrząc na to z historycznej perspektywy jest coś na rzeczy...

Potem były Kurozwęki, piękny park i pałac. Jest tam hodowla bizonów, którą dziesięć lat temu założył obecny właściciel, potomek dawniej zamieszkującego tu rodu, pan Popiel, uroczy człowiek, gościnny, pełen kultury. Tę hodowlę chcą mu teraz zlikwidować głupie urzędy, twierdząc wbrew naukowym ekspertom, że to szkodzi polskim żubrom, grozi epidemią albo powstaniem jakichś mutacji, co jest kompletną bzdurą. Nikt logicznie myślący tego nie rozumie. Przecież bizon nie stonka, z zagrodzonego terenu nie wyleci. Powiedzialem to panu Popielowi ku rozweseleniu. Pojeździłem, że to jakaś sprawa polityczna. Przecież przez dziesięć lat nie pojawiło się żadne zagrożenie. Albo też odzywa się normalna zawiść klasowa. Oto cham chce zniszczyć pana.

Na dziedzińcu pałacowym stoi wypchany bizon. Właściwie jest to pluszowy manekin z doszytą autentyczną głową zwierzęcia. Położyłem się pod tą figurą i poprosiłem, aby Magda Węgrzynowicz-Plichta zrobiła mi zdjęcie. Później znalazło się ono na facebooku z podpisem mojego autorstwa wymyślonym wtedy na poczekaniu: „Niejedna ucieszy się grafomanka, że bizon stratawa! Stefanka”. I zaczęliśmy przerzucać się fraszkami. Emilia Tesz powiedziała: „czego nie zdołała ona, dokończył róg bizona”. A ja odpowiedziałem natychmiast: „to Stefana zbawi, co mu się z tyłu wykrwawi”. Żartom i konceptom nie było końca. Napisałem też - po niedużym kielichu - taki limeryk:

*Pewien facet w Staszowie
czuł wielki popęd do owiec
w zastępstwie barana
wołano tego pana
choć był to bezideowiec*

A Staszek Nyczaj podsumował to wszystko fraszką: „To czego nie było i czego nie ma, też można ocalić od zapomnienia”. Ale plener był, przebiegł jak zawsze w kapitalnej atmosferze. Wracalem z żalem do Warszawy.

Tu już czekały na mnie sprawy literackie, ten cały kocioł, od którego chciałbym uciec. Czy muszę uciekać? Nic mnie nigdzie nie trzyma, funkcje pełnione przeze mnie mogą zawsze bez konsekwencji odrzucić. Czym się więc przejmuję? Jestem panem sytuacji. Mogę zatem robić, co chcę, żyć za Pani jeden uśmiech. Pozdrawiam serdecznie -

Stefan Jurkowski

Rozmyślania



Pamiętamy? Nie pamiętamy?

Każda wspólnota na przestrzeni lat i wieków wypracowuje specyficzne dla siebie sposoby zapamiętywania, ale też zapominania niewygodnych faktów. »Ars memoriae« i »ars oblivionis« stanowią nierozłączną parę. Wspólna pamięć jest sferą, którą codziennie na nowo konstruujemy, mimo że ludzie twierdzą, iż istota ich tożsamości jest niezmienna. O ile historia stanowi zamkniętą strukturę, o tyle pamięć jest otwarta zarówno dla jednostek, jak i dla zbiorowości. Pamięć zbiorowa bardziej rekonstruuje, niż rejestruje przeszłość. Przy czym pamięć w odróżnieniu od historii nie musi być jednoznaczna!

ANDRZEJ DĘBKOWSKI

Mamy dzisiaj do czynienia nie tylko z odzyskiwaniem pamięci, lecz także – a może przede wszystkim – z konfliktami pamięci, z pamięcią „naszą i waszą”, z pamięcią kłopotliwą, z manipulacją pamięcią, z jej sakralizacją, zawłaszczaniem i instrumentalizacją.

Przeszłość to wszystko to, co kształtuje naszą świadomość na poziomie myśli, a nawet odczuć wywoływanych przez te myśli w formie wspomnień. Są to też wszystkie rzeczy jakie pamiętamy i dzięki którym nabieramy doświadczenia życiowego, które kształtuje nasz charakter. Ponadto istnieje coś w rodzaju świata astralnego, w którym nasze myśli w formie odczuć lub wspomnień tworzą główny trzon rzeczywistości.

Współcześnie problem pamięci stał się jeszcze bardziej palący – jak wspominać przeszłość, jak mówić o wydarzeniach, które chciałaby ze swej pamięci wymazać, dokonać tzw. wyparcia, a których pozbyć się nie można i chyba nigdy nie będzie można? Jak pamięć jednostkowa, opowieść każdego człowieka ma się odnosić do pamięci zbiorowej, historycznej?

W Zelowie z pamięcią jest różnie. Jedni chcą pamiętać, inni nie. Jedni wybierają sobie te frag-

menty przeszłości, które akurat im odpowiadają, o innych nie chcą pamiętać, jakby nic takiego nie miało miejsca, jakby była jakaś czarna dziura. Amnezja jest podobno straszną chorobą...

Kilka miesięcy temu zlikwidowano jedną z byłych zelowskich fabryk. Tak zwaną „Centralę”. W okresie międzywojennym była to fabryka Józefa Mantyna Jersaka, po wojnie znacjonalizowana i przejęta przez państwo, jako jeden z oddziałów Zelowskich Zakładów Przemysłu Bawełnianego, a od 1976 roku FANAR. Rok 1989, rok przemian społeczno-politycznych spowodował, że kiedy upadł przemysł lekki w Polsce, nie ominęło to także Zelowa. Próbowano wskrzesić zakład, ale nic nie pomogło. Zakład niszczał, zapadały się dachy, w końcu trzeba było go rozebrać. Obok pozostał tylko niewielki obelisk upamiętniający to miejsce jako przejściowy obóz pracy dla ludzi w nim więzionych podczas II wojny światowej.



W miejscu fabryki ma stanąć kolejny market.

Nieopodal „Centrali” stał zabytkowy dom (Pałac, jak mówili o nim zelowianie) właściciela fabryki Jersaka. Ostatnio w budynku mieszkali lokatorzy do momentu aż budynek płonął. Nie pierwszy zresztą raz. Jednak teraz okazało się, że nie nadaje się już do żadnego użytkowania i należy go rozebrać. A przecież mogło znajdować się w nim np. Muzeum, czy choćby izba tradycji miasta.



Rozbórka zabytkowego domu Jersaka.

Internautka na jednym z portali społecznościowych napisała: *Ogólnie rzecz biorąc, to szkoda, że Zelowa jest już co raz mniej i mniej... Zawsze lubiłam i lubię to miasto, ale jest tam coraz smutniej... Szczególnie ten widok radości nie napawa, bo zakłady dawały wielu ludziom pracę, a teraz pozostała czarna folia i blacha okalająca teren byłych zakładów...*

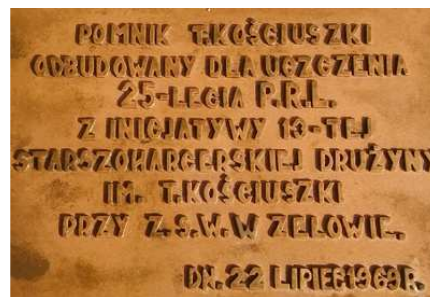
Inna kobieta na tym samym forum: *[...] tak budynki teraz straszły, ale w tych budynkach był pot ludzi, którzy tam pracowali... w kurzu, w halasie, w nocy... To pot moich Rodziców, mojego męża i mój też, a ten zielony dom, to Pałac – tak na niego zelowianie mówili – i mnie osobiście szkoda, że tak niszczał, a mógł służyć nam np. jako muzeum tkactwa...*

Czasami jednak pamięć o czymś jest tak bolesna i uciążliwa, że nie pozwala zupełnie skupić się na teraźniejszości, staje się balastem nie pozwalają-

cym normalnie funkcjonować.

Wszystko jednak lepsze jest od całkowitego zapomnienia. I nie chodzi tu tylko o patetyczne *Naród, który traci swoją pamięć, przestaje być narodem*, choć to piękne słowa podkreślające rolę pamięci w utrzymaniu wspólnoty. Człowiek, który odcina się od swoich korzeni, wyrzeka własnego pochodzenia, rodowodu traci także część siebie. To, co zapomniane, tak jak i to, co niewypowiedziane, nie istnieje.

Dużo było zamieszania wokół pomnika Tadeusza Kościuszki w centrum miasta. A wszystko za sprawą Eugeniusza Biskupskiego, inicjatora budowy pomnika pod koniec lat sześćdziesiątych. Biskupski wiele swojej energii i czasu poświęcił, żeby przywrócić dawną tablicę, nie wiadomo czemu zdjętą w latach 2000, a zamienioną na inną, przekłamującą historię.



W końcu się udało, ale po co było ruszać coś, co było częścią prawdy historycznej, odmiennej od dzisiejszych standardów, ale jednak prawdy. Nie wystarczyło zamontować informacji o tamtych czasach, żeby wyjaśnić kolejnym, młodym pokoleniom Polaków, czym był tamten, miniony system?



Tablicę zmieniono, ale i teraz okazało się, że tak do końca nie wszystko można. Nie można było jednak napisać, że pomnik odsłonięto 22 lipca 1969 roku, musi nam wystarczyć – lipiec 1969.

Żadna pamiątka nie równa się jednak ludzkiej pamięci, która, niedokładna i fantazjująca, jest mimo wszystko najtrwalszym twórczym światła. Przypomnienie nigdy nie będzie łatwe, ale życie bez pamięci nigdy nie będzie prawdziwe.

Ja nie godzę się na to, że są tacy, którzy mówią, że tworzymy skansen historyczny, że zamiast patrzeć w przyszłość, patrzymy w przeszłość. A ja mówię: żeby patrzeć w przyszłość, trzeba pamiętać o przeszłości. A kto tego nie rozumie, niech popatrzy na naszych sąsiadów z Zachodu i ze Wschodu, jak oni o pamięć historyczną dbają...

JÓZEF BARAN

Przystanek Marzenie (60)

(fragmenty)



Nasza krótkowzroczna wrażliwość: Agadir

Gdyby przeżywać wszystkie troski, tragedie, katastrofy życiowe, smutki, choroby, nieszczęścia, śmierci bliźnich – wypadaloby chyba oszaleć, zwariować, wybuchnąć, wyskoczyć ze skóry lub spłonąć na stosie wrażliwości. Nie byłibyśmy w stanie takiego nałożenia wytrzymać. Dlatego z wiekiem i w miarę rozszerzania się świadomości, grubnie i twardnieje nam skóra, jak u nosorożców, staramy się żyć z zamkniętymi oczami i uszami, i tylko gdy nieszczęścia dotykają ludzi z bliskiego nam kręgu – nie przeżywamy ich fragmentarycznie, powierzchownie, ułamkowo...

Nasza krótkowzroczna wrażliwość – to jedyny ratunek, samoobrona.

„Bo przecież zdradą wobec osoby kochanej jest żyć dalej, gdy ona została pozbawiona życia” – skarżył mi się poeta Leszek Cz., którego żona zginęła w wypadku samochodu, który prowadził.

A jednak przeboleła i żyje dalej.

I my żyjemy, cieszymy się, kochamy, smakujemy potrawy serwowane przez istnienie, choć wokoło tyle nieszczęścia. Radośnie tańczymy naszą pieśń życia na prochach, na pobojowiskach. Cieszymy się z naszych małych „szczęść”, nie zauważając dookólnych globalnych nieszczęść, tsunami, trzęsienia ziemi, nie słysząc krzyków umierających, bitych, cierpiących i głodujących w dalekich krajach. Bo inaczej się nie da, bo to jedyny ratunek przed obłędem: nasza krótkowzroczna wrażliwość – zanotowałem jakiś czas temu w moim brulionie.

Agadir, największy marokański kurort nad Atlantykiem, wydaje się odpowiednim tłem dla podobnych refleksji. W 1960 w przeciągu kilkunastu minut straciło tu życie, wskutek trzęsienia ziemi, 15 tysięcy mieszkańców! Domy, ludzie, ulice, stragany – wszystko to zostało „strząśnięte” jak gruszki,

jabłka, pomarańcze z drzew na wskutek wichury. Pozostało gołe wzgórze, miasto zrównało się z ziemią. Dziś tamtą tragedię upamiętnia napis na widocznym z plaży hotelowej kopcu-wzgórzu. Napis jest ułożony z białych, podświetlonych nocą kamieni.

U stóp starego nieistniejącego Agadiru powstało nowe kurortowe czterdziestotysięczne miasto z pięknymi, szerokimi plażami, ciągnącymi się całymi kilometrami wzdłuż brzegów Atlantyku. Setki, dziesiątki tysięcy półnagich turystów wylega na nie. Najodważniejsi około południa wychodzą naprzeciw wzburzonym oceanicznym górom fal, tym bardziej że w tym roku wyjątkowo ciepło jak na marzec, około 28 stopni. Wieje ciepła bryza. Niemcy, Rosjanie, Holendrzy, Szwedzi, co uciekli ze swych zimnych krajów, starają się nałapać jak najwięcej słońca, pozwalają odetchnąć wszystkimi porami, zmęczonej zimą i brakiem dostępu do wolnego powietrza, skórze. Tak jakby, sami o tym nie pamiętając, odprowadzali swój taniec życia prawie na ruinach, na kościach, na cmentarzu ofiar trzęsienia ziemi.

W pierwszych dniach, gdy spacerowałem brzegiem Atlantyku, u stóp cmentarnego kopca, byłem pewny, że arabskie litery ułożone z białych kamieni, to jakiś rodzaj islamskiego *memento mori*. Myliłem się. Napis brzmi: „Allah – Ojczyzna – Król”.

Dla muzułmanów śmierć zresztą nie istnieje, w ich wyobrażeniach religijnych jest tylko snem, z którego szybko się przebudzą, więc starają się nieboszczyka jak najrychlej – po siedmiokrotnym obmyciu jego ciała – oblec w rytualne szaty i pochować, nieraz natychmiast po wydaniu przez niego ostatniego oddechu, żeby mógł się obudzić jak najszybciej w raju. Bo jeśli był dobrym człowiekiem, to powinien się tam jak najrychlej znaleźć, a jak był zły – to należy go stąd jak najszybciej wykurzyć.

A gdy już jesteśmy przy islamskim niebie (w wyobrażeniach muzułmańskich istnieje tylko niebo i piekło; pojęcia czyścica brak)... Jakież konkretny, ziemski, bliski wszystkim zmysłom ten arabski raj! Z hurysami, ogrodami, pałacami. I jak przy nim abstrakcyjne, uduchowione, a więc mało wyraziste i sugestywne – niebo chrześcijan. Nie pachnie, nie kusy, nie przyzywa bajecznymi wizjami. Chrześcijanin powinien się przecież wyzbyć żądz, grzesznych namiętności, a gdy się ich wyzbędzie, to czym odmaluje niebo – tu na Ziemi, gdzie jednak operujemy zmysłami? Powiedziałbym, że niebo Arabów jest o wiele bardziej konkretne i namacalne. Naiwnie obmyślane? Owszem, ale działające na wyobraźnię.

Wróćmy do starego i nowego Agadiru. Naprzeciw siebie – żywi i umarli. Jedni – na górze – leżą, a właściwie zostali już przemienieni w proch. Drudzy – na dole – skaczą, pływają, nurkują, prychają, opalają się. Pośród nimi ja. Przypomina się w tym momencie powiedzenie Anatola France’a, że

ludzkość składa się z niezliczonej ilości nieżyjących i małej ilości żyjących.

Póki co: tańczymy, śpiewamy, kąpiemy się, czerpiemy pełną piersią radość ze słonecznej pogody, sycimy oczy oceaniczną dalą i nasłuchujemy, jak na plaży trwa nieustający festyn i targ życia, inscenizowany codziennie przez Marokańczyków, którzy dokonują tu sztuczek nie lada, żeby wydoić z turystów jak najwięcej dirhemów. A potrafią to robić. Oj potrafią... Są w tej dziedzinie sztukmistrzami, magikami. Czary-mary i już ci wcisną bubel, wmawiając z czarodziejskim uśmiechem, że to „good price!”, „dobra cena!”. „Abrakadabra” i już nie wypłacą należnej reszty albo wypłacą w nieważnych dirhemach algierskich.

Wszędzie: na ulicach, na plażach, w sklepikach-butikach, przy straganach trwają targi, kupczenie, wmawianie turystom zawyżonej wartości towaru. Ceny są płynne, nie ma niczego stałego. Jest to dla mnie irytujące, gdy cokolwiek chcę kupić (np. okulary przeciwsłoneczne), zawsze pierwsza propozycja cenowa, która pada z ust Araba, jest dziesięciokrotnie wyższa, od realnej wartości. Czy istnieje zresztą coś takiego jak realna cena? A jeśli istnieje, to trzeba się o nią długo targować, żeby do jej granicy dojść.

Są znakomitymi psychologami, wykorzystują każdy moment nieuwagi, zawahania, kłamią jak z nut, po pierwszych reakcjach turysty orientują się w lot, na ile go można naciągnąć i czy wie, co naprawdę kupuje. Czy coś jest pozłacane czy złote, posrebrzane czy srebrne, z drogiego materiału czy z tandetnego? – „good price!”, „dobra cena!” – tyle usłyszę.

Są wszędzie, nawet na plaży, gdzie uwijają się, handlując muszlami, kamieniami z kobałtem czy ametystami, wykopanymi z Sahary; napojami, owocami, bawełnianymi koszulami... seksem. Tak, tak, na plażach kręci się pełno młodych Arabów, bez żenady oferujący samotnym Europejkom usługi erotyczne za euro. Wchodzą do morza, podpływają motorówkami – bystrzy, znakomicie zorientowani, która z pań jest sama, która z partnerem... choćby szli oboje od siebie oddaleni. Bystry Marokańczyk rozpozna natychmiast sytuację i wypatrzy samotną kobietę, a za chwilę ją zaczepi, nawet w morzu. Zajętej zaś nie będzie nagabywał. Jedna z Polek opowiadała, jak uciekała co sił w nogach, gdy wracając wieczorem z targu pustą uliczką, usłyszała propozycję seksualną od trzech arabskich podrostków. „Seks, seks, seks!” – ta natarczywa propozycja śniła się jej potem po nocach, bo niosła przy sobie torbę z pieniędzmi i paszportem, i obawiała się, że jej wyrwą z rąk. Gdyby nie ćwiczyła w szkole biegów sprinterskich, kto wie jak skończyłaby się ta nieprzewidziana randka w ciemno.

cdn.



Futuryzm ponowoczesny Stefana Jurkowskiego

15 tomik poetycki **Stefana Jurkowskiego** stanowi jakby pewien przełom w jego twórczości literackiej. Znany felietonista „Gazety Kulturalnej”, krytyk literacki, dziennikarz, były przewodniczący Komisji Kwalifikacyjnej przy Zarządzie Główny ZLP, uważa siebie przede wszystkim za poetę. I faktycznie tak rzeczywiście jest, bo w każdym gatunku literackim przez niego uprawianym obecny jest jego duch poetycki. Żyje więc z literaturą za „pan-brat”, co też powoduje, że owo współzycie nastęrcza mu wielu kłopotów, które również inspirują klimaty twórcze, które nierzadko są pesymistyczne. Wydaje się jednak, że jego twórczość rozwijała się w cieniu formacji Hybrydy, co widać szczególnie w ogromnym szacunku dla słowa, które obecnie coraz bardziej ulega inflacji semantycznej, a więc zrozumiałe są poniekąd jego pesymistyczne diagnozy, podobne do tych np. Wojciecha Kawińskiego, co do dalszych jej losów, ale i poszukiwania jakiejś nowej materii dla tworzenia poezji i jej nowych form życia bliskich człowiekowi. Wydaje się, że właśnie te kwestie ogniskują się w jego tomiku pt. „Pamiętka po nieobecności”.

W omawianym tomiku autor przywiązuje szczególną uwagę do siły słowa, jego znaczenia, a nawet do momentu jego zupełnego zniesienia na poziomie werbalnym, ale pozostającego dalej elementem nadającym znaczenie w komunikowaniu parawerbalnym i typowo behawioralnym, gdzie samo pustostwie również coś jednak znaczy. Źródłem inspiracji artystycznych Jurkowskiego stają się wątpliwości wynikające z widm przerażającej przyszłości, w której postrzega siebie jako „małą chwilkę” uwikłaną w życie świata literackiego, ale i kosmosu. Zachowuje się jak ów biblijny Jeremiasz wyrzucony z brzucha wieloryba w otmęty „ciemności pamięci”, którą stanowi przestrzeń umierającego miasta, na gruzach którego rodzi się nowy początek, choć trudno jednoznacznie powiedzieć czego i tam próbuje lokować swoje nadzieje. Poeta powtarza za Krzysztofem Gąsiorowskim jego osobistą sentencję filozoficzną, mówiącą, że „powtarzalność nie istnieje”, co może znaczyć, że Jurkowskiemu owe głębokie zasady wariabilizmu twórczego stają się bliskie, bo jak wielokrotnie konstatuje wszystko niby jest takie same, ale zawsze jakoś odmienne. W związku z tym przekonaniem i „czas na miłość” staje się względny, bo – jak sądzi – „słowa – impregnowane, umierają wcześniej / niż ten kto chce je utrzymać przy życiu”. Żywił poezji bowiem odradza się w kolejnych wstępujących pokoleniach „bez zatrzymania”, a jedynie ich osobiste światy poezji stają się swoiście przeciwstawne

do poprzednio kulturowanych, chociaż w centrum pozostaje miłość, wokół której „upada / martwe / słowo”.

Poezja według Jurkowskiego jest bowiem pod wieloma względami podobna do sztuki rzeźbiarskiej tworzącej posąg w materii powietrza, które nieustannie zabiera z sobą wiatr dziejów i zamienia w „szary kurz”. Nowe inspiracje kolejnych generacji poetów czerpią swe głębokie inspiracje z własnego odczucia ich Edenu. Chodzi im o to, by ich poezja znaczyła i nie stanowiła „pamiętki po nieobecności”. Skazani jesteśmy bowiem na zachwyt pięknem nawet wtedy, gdy wiatr dziejów zrzuca jego przejawy w błoto – podkreśla artysta. Poeci muszą jednak walczyć o swych następców, by wyciągali owo piękno z tego błota pospolitości i by pozwolili ich poprzednikom wcielić się w inne strony naszego świata, unikając gwałtów codzienności.

Przechodząc w dalszej części tomiku już bardziej do subiektywnych, typowo poetyckich inspiracji, Jurkowski postrzega w świecie obecność jakiejś boskiej „siły światła zwielokrotnionego”, która powoduje pojawianie się miliardów pragnień „zmartwychwstania ciała”, co z kolei prowadzi do tego, że Ziemia staje się dla ludzi coraz mniejsza. Ale dzięki owej „sile słońca” nasz świat jakby się kwantuje, a nasze słowa ulegają jakby zdżyczeniu i dlatego, podobnie jak nieustannie ewoluujący kosmos, tracimy nasze punkty odniesienia w życiu osobistym. Nawet w kościele widzianym oczami dziecka mijamy się z Bogiem, który „w długiej czarnej sukience” wychodzi ku „światu mrowiska”, tj. światu żywiącego się ludzkimi nadziejami, by oswajać ciągle narastającą niepewność jednostkowego istnienia. Jurkowski głosi przy tym specyficzny wariabilizm społeczny, wciągający ludzi w niekończące się gry egzystencjalne, w których poeta najczęściej dzieli los skazańca. Właśnie w wierszu pt. „Skazaniec” dowiadujemy się, że: „(...) wydany słońcu i pragnieniu / abyś nie kochał nikogo / prócz małej kropelki wody // pokutuj za tę którą kochasz / za wszystko czego kochać nie powinieneś / pokutuj za los / za przeszłe i przyszłe słowa / jedyna twoja nadzieja / że kiedyś katedra się pochyli / mury cię pogrzebią wraz z cierpieniem / i globem”.

Kolejna kwestia niepokojąca poetę to przejmujące doświadczenie „zwijania się w sobie”, którego poczucie pojawia się wtedy, gdy chce odejść od siebie i wspiąć się na osobistą „górze istnienia”. Wtedy cały świat otaczający go szarzeje i również chce odejść z nim jakby w nie-istnienie. Pozostaje więc tą szczeliną – jakby powiedział Martin Heidegger – tym „prześwitem”, gdzie „bycie bytów” wychodzi na jaw i zije owym fundamentalnym „nicościowaniem Nicości”, które mimowolnie odsyła nasze światy w niepamięć. To głęboko egzystencjalne doświadczenie odsyła także Jurkowskiego do poetyckiego wglądu w ciszę, która ciągle się pojawiają, „choć nic nie mówi o sobie”. Jasne się staje

wtedy, że „papierowe życie słowa” również musi ulec anihilacji, a doświadczenie dominującej dzisiaj korespondencji e-mailowej coraz bardziej go o tym upewnia. Aby więc jakoś wiersz przeżył ten przełom technologiczno-kulturowy musi stać się częścią składową każdej egzystencji, szczególnie zaś samego poety. Mówiąc prościej – poeta powinien pisać wiersze nie tylko piórem, ale i własnym życiem.

Dzisiaj życie jednostki jeszcze eksterioryzuje się na papier, ale w niedalekiej przeszłości będzie pewnie przenosić się do „Galaktyce Internetu”, która przedłuży nie tylko w nieskończoność jego życie realne, ale i doświadczenie umierania, nieustannie poddając w wątpliwość pełnię, ale i sens każdego jednostkowego istnienia. Jesteśmy bowiem – konkluduje poeta – „światami niedopowiedzianymi”, dla których poeta to źródło „uwolnionych znaczeń”. Dlatego owa linearna logika dwuwartościowa staje się dla poety nieadekwatna, potęguje wątpliwości w trwałość jakichkolwiek sensów z naszego świata, a do tego „przeciwstawia miłość śmierci”, choć – jak pisze poeta – są to „dwie siostrzane strony” tego samego. Tworzymy więc ciągle światy wspólne wychodząc za horyzonty indywidualnych, a dzięki lirycznemu stosunkowi do „drobin piękna”, próbujemy się ogrzewać w wiecznych płomieniach kosmosu.

W wierszu pt. „Przejsię” Jurkowski sugeruje, że: „(...) nie dojdzie nas pogoń / czas / wszystkie odległości / nasze ciała / zostawiamy za sobą // narodzeni do siebie / wreszcie żyjemy – // ogień absolutny / w naszych galaktykach / płonie / wiecznie”. Wizja ta stawia przed poetą tzw. „Pytania pospieszne” wyrażające dylematy ekspresji poetyckiej: czy można napisać kogoś / siebie, bo przecież słowa niosą znaczenia wzajemnie się raniące, wybuchające, choć i tak „rodzimy się w słowie”. Jest tak dlatego, że czas to nic innego jak kosmiczny huragan, a w takich uniwersalnych wymiarach najlepszą poezją staje się nasza codzienność, kiedy pozostajemy osobami, bytujemy razem, odrzucając z istnienia to, co doskwiera temu naszemu bytowaniu. Świat dzisiejszy przypomina poecie Westerplatte, gdzie ludzie walczą pod hasłem „chwały globu i całej ludzkości”, zaś patriotyzm staje się „płaczem ze śmiechu”. Postawę tę wzmacnia doświadczenie Facebooka umożliwiające obcowanie z umarłymi w niekończącej się „teraźniejszości wirtualnej” świata. Wszechobecna grawitacja nie ściąga nas ku rzeczywistości, ale do własnego wnętrza i to coraz szybciej, co skutkuje ciągłym zamykaniem się w sobie i obojętnością na świat. Pojawia się więc wielość uniwersów światów i ich metaforycznych ujęć wierszami, a jednym z nich jest uniwersum erotyczne drugiego człowieka.

Ta narracja poetycka odsyła warszawskiego poetę również do własnego uniwersum świata z okresu dzieciństwa, w którym nie

(Dokończenie na stronie 18)

Futuryzm ponowoczesny Stefana Jurkowskiego

(Dokończenie ze strony 17)

znajduje wielu śladów własnej obecności. Czuję się więc jak ów przysłowiowy pies żywiący się instynktem i wiarą w życie, śmiejąc się jednocześnie z „wszelkiego smutku”, bo ta psia logika podpowiada mu, że będzie jakoś jednak wiecznie istniał, a jako poeta pewnie „niecały umrze”.

W wierszu bez tytułu zamykającym tomik dowiadujemy się jak widzi poeta sens swej twórczości, którą kocha pomimo wszystko, oświadczając: „(...) tak stać się musiało – / za widnokregiem życiodajne słońce / tam idę by się spalić / a więc się odrodzić // i nie wiń mnie za to / co nam zapisano / w niepojętej księdze”.

Jak widać bycie poetą to poddanie się kosmicznemu logosowi, jakiemu podlega ów „biały karzeł”, czyli poeta, żywiący się nadzieją unoszącą się poza tzw. „horyzontem możliwych zdarzeń”, który pragnie, by kiedyś odrodzić się jako ta „osobliwość początkowa”, z której wyłoni się kolejny jego świat alternatywny opisany strumieniem nowych wierszy. I chyba na tym polega ów futuryzm ponowoczesny Jurkowskiego, przekraczający tradycyjne ramy uprawiania poezji, w którym jego twórczość łączy jednostkową codzienność z kosmicznym logosem wszechświata. Warto więc zadumać się nad tą propozycją lokującą poezję jako nową drogę egzystowania ku tak przedstawionej naszej transcendencji.

prof. Ignacy S. Fiut

Stefan Jurkowski, „Pamiętka po nieobecności”. Projekt okładki i skład: Rafał Babczyński. Zaulek Wydawniczy Pomyłka, Szczecin 2015, s. 88.



Poetka śpiewająca „duchem”

Człowiek stał się czysty jak anioł albo zwierzę (...) Mając dość bycia ni to aniołem, ni to zwierzęciem, postanowił być albo jednym, albo drugim: albo „ciałem” albo „duchem”.

Paul Valery

To święty Paweł powiadomił koryntian, że będzie śpiewał „duchem”. Stąd zapewne

plynie w liryce **Zofii Mirskiej** owo Lukrecjańskie z „ducha” czyli „nadanie wartości temu, co przemijające i doczesne”. Śpiewając „duchem” osiągamy przeto najwyższy stan świadomości. Żeby tylko śpiewającą „duchem” poetkę z Kłodzka, który to: „głową zadziera wieżami kościołów / bryluje w sferach rodzimą kulturą / przy słowie prowincjonalnie wydyma usta”. Usłyszał (odnalazł) czytelnik ten tajemniczy stwór, który gdzieś tam żyje, dialektyczny fenomen. Jest w nim coś sensualnego, pociągającego i groźnego zarazem. Niektórzy mówią, że jest dla poety partnerem – jak w miłości kobieta.

Autorka wierszy zebranych Zofia Mirska (z dziesięciu książek poetyckich) z lat 1982-2013 i wydanych pod wspólnym tytułem „tam i z powrotem” – jest potwierdzeniem znaczącej pozycji na mapie współczesnej liryki. Przynosi przemyślenia stanowiące niejako centrum współczesnej refleksji humanistycznej (autorka jako wieloletni pracownik kultury i nauczycielka języka polskiego). Urodziła się w Twierdzy koło Lwowa. Od lat mieszka w Kłodzku nieopodal Twierdzy, będącej systemem obronnym z okresu XVII i XVIII wieku. A więc prawdziwą Ojczyzną poetki jest Ojczyzna Twierdz. Jak sama stwierdza – jak matematyk budujący równanie wyższego stopnia:

*pozostaw mnie głuchą jak
most skałę Twierdzy koci łeb
na wąskiej ulicy pozwól
marzyć o alejach*

Potrzebna wówczas maksyma sterująca w stronę życia, bez uzalania się na brak serca dla innych i brak sympatii dla siebie. I w niej właśnie rozgrywają się zasadnicze momenty ludzkiego losu. Myślę o rysunku oszczędnym wręcz ascetycznym (powstaje pytanie: jaki sens można wyrazić przy maksymalnie zmniejszonej ilości słów?) katalizując elementy uczucia i rozumu, jak rozbite jądro atomu:

*W jednej dłoni strumień fotonów
kwanty energii
w drugiej garść krzemu ukryta
w papilarnych liniach*

Poezja jest rozmową, która przełamuje ludzką samotność. Wiersz Zofii Mirskiej jest z reguły „osobny i zamknięty”. Ryszard Krynicki powiedział kiedyś: „wiersz, kiedy już powstaje, jest jedną z tych przemijających rzeczy, jaką jest w stanie stworzyć człowiek”. Doświadczenie podmiotu wierszy Z. Mirskiej, doświadczenie intencjonalnie osobnicze, powtarza jednocześnie doświadczenie gatunku. Rzecz by można, że owo literackie wyrobienie polegające na pogodzeniu różnorodnych form poezjowania: służy tu złagodzeniu monotematycznego charakteru tych wierszy (podane w jednym tylko wariantcie stylistycznym byłyby nużące). Jedna z definicji mówi: istnieje poezja tak głęboka, tak ściśle związana z początkiem – z losem człowieka,

że nie ma dla niej godniejszego odczuwania nad ideę zwyczajności:

*Nie rozjechał mnie samochód
nie runął mi strop na łeb
nie ukradziono mi torebki
nie zabił mnie piorun pod drzewem
nie zamordowano mnie bestialsko
(...)
nie umarłam na raka w porę wycięli
nie grzebię regularnie swoich bliskich
nie załamala się pode mną łód
nie biorą mnie na języki częściej niż innych
nie jechałam pociągiem który się wykołoił
nie byłam wtedy kiedy strzelał szaleniec
Mam aż tyle szczęścia?*

To wiersz o tzw. kruchości cywilizowanego życia – o świadomości, że żyjemy nieomal na zasadzie cudu – w każdej chwili możemy się rozpaść jak to się nieraz zdarzało. Poezja jest losem (jednym z najcięższych ludzkich losów) ten los wymaga od poety dyscypliny – zmusza do zrozumienia ludzkich uczynków. Poznawać świat i pojmować go – siła wzruszenia kształtuje istotę teraźniejszości ale czyni to czasami w sposób brutalny i bezwzględny „jeszcze żywa / jeszcze nie obojętna / rozgrzebuje pamięć / wnikam w popioły”. Los człowieka tym samym wrasta w swoją epokę, w jej przeznaczenie, razem z nim rośnie, dojrzewa i ginie:

*pozostawiona pod słońcem
żyję w przeciwną stronę
nieodwracalnie rozpadam się
na proste związki organiczne*

Czas poezji Z. Mirskiej jest czasem wyjątkowym „czas jest w twórczości Mirskiej kategorią szczególną. Widzimy, jak płynie, upływa. Ludzie, gdy o nich mowa, starzeją się i umierają. (A. Matuszkiewicz)”. Poezja nie jest odkrywaniem nowych sytuacji, ale stwarzaniem ich – poszukiwaniem innych pejzaży, światel, drzew, brzegów morza... Człowiek wobec przyrody odczuwa swoją inność, jest intruzem, a „chciałby powrócić do Raju Ziemięgo, jak przed grzechem Adama”:

*za okularami już jesień
pora złożyć mityczną ofiarę
z libacji życia
Bogu przeznaczyć dym z liści
samemu wysuć zieleń
i wyjść na spotkanie
nienasyconych*

Równie ważne są inspiracje poetki (tutaj ukłon w stronę tytanów pióra): Zelenay, Kulka, Hölderlin, Norwid, Różewicz, Tokarczuk, Lope de Vega, Blake, Gombrowicz, Szymborska, Sandor Marai, A. de Saint-Exupery. Myślę, że wrażliwość mnie nie zawiodła – wymienieni autorzy zdołali wytworzyć tyle punktów odniesienia w poezji autorki, że jak gwiazdozbiory wyznaczają kierunek poetyckich rejsów. Trzeba być pełnym wewnętrznego niepokoju, ale jedno

częście świeżym w obrazowaniu przemijającego świata, delikatnym i wrażliwym – doświadczenie uczy, że człowiek jest niezbędny przyrodzie, wie odgradza go kultura ani czas. Może jedynie śmierć ale i umarli są ciągle obecni, trwają w symbiozie z przyrodą i swoją masochistyczna postawą udowadniają kruchość naszego żywota „czas we mnie / zasłużył na starość / chwila życia / jest wiecznością”.

Serce poetki jednak drgające uczuciem – tylko z oczu przebija dramatyczny kształt świata. Jednak jest w tym umiłowanie świata w jego biologicznym kształcie i zupełna świadomość człowieczego losu.

Ale wróćmy na chwilę do tzw. alchemicznej tajemnicy warsztatu – i tu cytaty z Norwida: „Wszędzie, skoro kto po nim słowo bierne lub krzesło, zwykł poprzednikowi swemu kilka grzeczności słów albo milczenie poświęcić”. Tylko, czy nasze najtajniejsze reakcje psychiczne nadadzą kształt, ujmą w słowa to, co ukryte w milczeniu? Człowiek zawsze był uwikłany w racje swojej osobowości – zabłąkany pomiędzy absurdem trwania i odchodzenia. Zawsze był pomiędzy niebem a ziemią „szukam równowagi, zawczasu / dopełniam każdą tezę antytezą / by nie być bardziej oszukana”.

„Czerń i biel” (2013) ostatni z członów wierszy zebranych jest pewnego rodzaju przekroczeniem bariery umiejętności – może nawet konwencji (dojrzałość sankcjonuje wewnętrzna prawda artysty) może również w „milczącym kosmosie własnej biografii”. Jest to logiczne i zrozumiałe, gdy się zastanowimy czego człowiek pragnie, co może i na co jest skazany.

„Doskonała harmonia ludzka, którą tworzy przyciągająca mądrość męża i miłosne ciążenie ku niemu żony, prawdziwe wzajemne umiejscowienie dwojga, podstawowe arcanum, tak przerażające i tak piękne”. To nie znaczy, że wszystko rozgrywa się w egzotycznym atelier przeżycia ściśle jednostkowego, tworząc tak znamienny dla kobiecej liryki klimat uczuciowej podniosłości. Miara istnienia, jest miarą czułości wpisanej w pragnienie miłosnego pojednania – jak w wierszu „po małżeńskich kłótni”:

*On wchodzi – dziki wojownik
już bez farby na twarzy
i piór we włosach – zasiada
i pastwi się nad gazetą*

*Ona polega – niby spokojna
ciało odwrócone
oczy zalzawione
nie patrzą, choć widzą
Oboje oddychają głęboko
o tym co on zawsze
o tym co ona nigdy
tkwią jak dwa Sfinksy
schronione w ciszy*

Poezja autorki wierszy zebranych „tam i z

powrotem” pragnę (podkreślić) jest bardzo wizualna i dotykalna, konkretnością obrazów świadcząca o tym, że trzeba pisać wiersze o tym, co daje się ogarnąć, zrozumieć.

„Człowiek stał się czysty jak anioł albo zwierzę, gdyż nieczystość pochodzi jedynie ze zmieszania dwóch natur. Mając dość bycia ni to aniołem, ni to zwierzęciem, postanowił być albo jednym, albo drugimi albo „ciałem”, albo „duchem” napisał Paul Valery.

Pomimo trudności do „ogarnięcia wzrokiem dziesięciu książek poetyckich” – łączy je bowiem dążność do przeżywania świata w kategoriach emocjonalnych. Nawet wiersze prezentujące wielką uniwersalną problematykę metafizyczną – traktując ją w kategoriach przeżycia. Trudno nie zauważyć, że „Kopciuszek” zdołał oddzielić ziarenka maku od popiołu, za co ma go oczekiwać złoty pantofelek...

Andrzej Gnarowski

Zofia Mirska, „tam i z powrotem”. Wydawnictwo „Maria”, Nowa Ruda Kłodzko 2014.

Dobrze wypieczone wiersze

Mój dziadek był piekarzem. Miał dwie własne piekarnie. I moja żona czasem wypieka chleb. Dobry, choć nie taki jak w dzieciństwie, gdy jeździłem do stryjecznych dziadków do Jackowa, gdzie był w podwórzu domek niewielki z piecem chlebowym. Bochny wychodziły z niego potężne i jadło się ten chleb cały tydzień ze smakiem. Niewiele pamiętam z technologii wypieku. Nas – dzieciaki wysyłano za stodołę byśmy narwali ładnych liści łopianu czy łopuchu, jak kto woli. Myśliśmy je w studziennej wodzie, a po wysuszeniu chyba na nich układano chlebowe ciasto do wypieczenia. Może coś pokręciłem, ale chleb robiony był i pozostał w pamięci.

Czym jest chleb? W sensie materialnym podstawowym pożywieniem. W metafizycznym codziennym fundamentem świata. Obok wody i powietrza jest rudymmentem życia. W wymiarze poetyckim to przenikanie wszystkiego, wszechobecność. Każdy przecież spożywa go właściwie wiele razy dziennie i każdy ma mnóstwo opowieści z nim związanych. Myślę, że nie ma osoby, która nie miałaby opowieści o chlebach, z którymi się zetknęła w swoim życiu, historii z których nie dałoby się ułożyć pokaźnego eseju, opowiadania, gawędy.

Chleb nasz powszedni, o który prosimy w modlitwach i którego zwyczajnie domaga się nasze ciało. I chleb metaforyczny napęniający duszę energią do marzeń.

Trzymam w ręku tom wierszy **Piotra**

Goszczyckiego „Chlebna podróż”. Goszczycki jest piekarzem i poetą, który z niejednego pieca chleb jadł. Pewnie dlatego wiersze zamieszczone w książce są pełne, głębokie i nieśpieszne. Czas smakuje powoli. I chleb smakuje powoli. A wiersze zawarte w „Chlebnej podróży” przejmujące.

Redaktorem książki jest wytrawny poeta Dariusz Staniszewski. Dobrze, gdy poetycki tom redaguje ktoś, kto czuje nie tylko literę ale i ducha. Staniszewski czuje ducha i jest zarówno dobrym poetą jak redaktorem.

Piotr Goszczycki łączy na stronach „Chlebnej podróży” dwa główne światy, które w nim współistnieją – kolejowych podróży i tworzenia chleba. Obie rzeczywistości funkcjonują w bogatym doświadczeniu autora i wnikliwej obserwacji świata. Nie są zawieszonymi w próżni wyobraźni literackimi zabawami, ale są opowieściami przeżyтыми i przemyślanymi. Nawet jeśli pytania pozostają bez odpowiedzi.

Każdy z wierszy Goszczyckiego poprzedza cytaty. Autor stawia drogowskazy przed własnymi tekstami i tworzy ze swoich i cudzych słów nowy wymiar odczuwania.

Wiersze są bardzo muzyczne, i nie chodzi o liczne cytaty z klasyki rocka i innych gatunków muzyki zwanej popularną, ale o ocieranie się rytmu wierszy o granice między tym co do czytania, a tym co można zaśpiewać. „Piwnica pod Baranami” wykonywała treść rachunków restauracyjnych czy mandatów i biletów – zaśpiewać można wszystko. Tu jednak mamy do czynienia z tekstami, które są muzyczne same w sobie. Po prostu muzycznie płyną słowem.

Goszczycki jest głęboki, ale i ironiczny. W utworze „Małe wielkie święto” opisuje zapewne początki terminowania w fachu piekarniczym, w którym uczono go tak ważnych czynności jak zamiatanie i układanie wypieku w koszach. Każda podróż zaczyna się od pierwszego kroku. Ta przygoda, jak widać, od prac porządkowych. Ale kto chciałby chleb z brudnej piekarni albo byle jak wrzucony do koszy? Retoryka.

Czy „Chlebna podróż” jest autobiografią piekarza? Z pewnością tak. Możemy dowiedzieć się z wierszy o pracy przy ceramicznym piecu piekarniczym. O kajzerkach i razowcu. O bezosobowej bułce z nienazwanego miasta. Chałce i chlebie z otrębami. Goszczycki stawia pytanie o wartość pieczywa w filozoficznym tekście „Pomiędzy wersami”. Pieczywa jako strawy fizycznej i metafizycznej. Nie da się chyba tak do końca rozdzielić wszystkich funkcji chleba – w gruncie rzeczy, czy karmi ciało czy duszę, to jest po prostu chlebem, który spożywamy, i w którym trwamy. Autobiograficznie opisuje nocny wypiek w starej piekarni Goszczyńskiego, chleb z żurawiną pachnący tradycją i wiosną. I tajemna historia w „Wierszu bezrobotnego

(Dokończenie na stronie 20)

Dobrze wypieczone wiersze

(Dokończenie ze strony 19)

piekarza”. W zestawieniu z biogramem zdaje się opowiadać o kryminalnym dramacie, ale nie jest to do końca jasne. Poezja nawet gdy jest autobiograficzna musi być uniwersalna. A tajemnica jest uniwersalna. Bardziej czytelne są wiersze związane z utratą pracy w piekarni. Ale i one tchną jakąś tajemnicą przyczyn i skutków.

Goszczycki w swojej „Chlebnej podróży” za pomocą filozoficznych pytań przenosi nas w świat religijnych idei etycznych. Eschatologia przepłata się z chlebem, a podróżowanie w przestrzeni z peremptoryjnymi wątkami.

Autor jest w jednocześnie w podróży po świecie i po własnym wnętrzu. Obserwuje ludzi i zdarzenia, ale szuka jednocześnie ich sensu. Bliski jest mu kolejowy peron i szorstkie dłonie piekarza. Łączy światy w całość. Biel mąki i czerń lokomotywy zamienia w wielobarwność świata. W mieście mojej żony był człowiek, który chodził ciągle umorusany ponieważ pracował jako kominiarz. Pewnego dnia Ewa spotkała go na ulicy białego od stóp do głów – został piekarzem. Połączył dwa żywioły. Identyfikacja postąpił autor „Chlebnej podróży” – połączył żywioł wypieku z żywiołem podróży, a wszystko położył razem nad antepedium ołtarza wiary i poszukiwania sensu. I doprawił solą historii – opowieści zawarte w wierszach dzieją się w realnym czasie i w realnym świecie, który ma realny wymiar i znaczenie.

Odwagą jest opowiedzieć Bogu jak wrzasta chleb („Monolog”). Odwagą jest pisanie o intymnej komunii z kromek regionalnego razowca („Obiady w Wejherowie”). Odwagą jest pisanie o chlebach z powstania warszawskiego i tych pleśniejących na śmietnikach. Odwagą w dzisiejszym świecie jest pisanie o Chrystusie jako chlebie wierzących. Odwagą jest jedzenie chleba w nurcie rzeki. I pieczenie tysięcy bochenków 2 kwietnia 2005 roku. I bycie bez pracy (byłem – wiem). I mówienie o odejściu bliskich. Odwagą jest...

Tom wierszy Goszczyckiego to nie jest zwyczajna układanka z wierszy. To szkic głębokiego traktatu o kondycji człowieka zagubionego w codzienności, zagubionego w sobie. To zachęta do smakowania czasu, przestrzeni, ludzi i wiary. Etos chleba jest etosem człowieczeństwa.

Wiersze godne polecenia nie tylko dla wielbicieli czytania, ale dla wszystkich zwykłych zjadaczy chleba. Wiersze karmiące intelektualnie i duchowo. Dobre wiersze. Piękne i mądre.

Mirosław Pisarkiewicz

Piotr Goszczycki, „Chlebna podróż”. Redaktor: Dariusz Staniszewski. Projekt okładki: Justyna Bartoń-Depa. Seria wydawnicza: *Szlak Literackiej PKP-Jazdy (Pociąg nr 9)*. Wydawnictwo i Drukarnia Towarzystwa Słowaków w Polsce, Kraków 2015, s. 78.

Pojedynek z Losem

Niegdyś, analizując twórczość **Stanisława Nyczaja**, napisałam, że podmiot liryczny (poeta) podejmując trud opisanie rzeczywistości wychodził naprzeciw nadziei mając przekonanie, że człowiek całą swoją „sprawczą mocą” może tę rzeczywistość zmieniać, co więcej, może „przechodząc samego siebie” kształtować ją i naprawiać. Lektura ostatnich wierszy, zwłaszcza tych z tomiku „Arcymiarra”, przekonuje, że w tym „zawikłanym krajobrazie świata” coraz trudniej spełnić pokładane nadzieje. Okazuje się, że niewiele tak naprawdę zależy od nas samych, że jesteśmy wmontowani w pewne struktury: społeczne, polityczne, ekonomiczne, że często spełniamy tylko rolę trybików w jakiejś wszechwładnej maszynierii, a nasze wybory są tylko pozornie naszym („Nasz łaskawy Pan But Ekonomii”, „Mecz o władanie”, „Kosmiczny futbol”).

Ale przecież w tej trudnej współczesnej codzienności, pełnej trosk i zmartwień tworzymy sobie jakąś racjonalną konstrukcję, by w niej czuć się bezpiecznie. Realizujemy wyznaczone cele, niekiedy spełniamy marzenia. Co dzieje się, gdy w tę naszą niejako już utrwaloną i wiadomą codzienność niespodziewanie, nagle wtargnie Los, „ślepy los” atakujący bez żadnego uprzedzenia, będący poza wszelką logiką. Chciałoby się wówczas powiedzieć, że nie dość, że dźwigamy swój los jako gatunku ludzkiego w konkretnej rzeczywistości, często przez nas nie do końca akceptowanej, to jeszcze uderza w nas (dlaczego właśnie w nas?) ów Los nieubłagany i bezlitosny. A to już, jak na ironię, podwójne obciążenie. Bo los jest ironiczny, może nas powalić w najbardziej nieodpowiednim momencie, gdy np. wszystko idzie już dobrze, gdy nareszcie otwierają się przed nami jakieś możliwości.

Najnowszy tomik poetycki S. Nyczaja zatytułowany „Pojedynek z Losem” odebrałam jako bardzo osobisty i będący kwintesencją egzystencjalnych przemyśleń akcentowanych w wielu wcześniejszych utworach. Kto kiedykolwiek poczuł na sobie samym niesprawiedliwą rękę Losu, wie, jak trudne jest z nim zmaganie. Niekiedy zamienia się w prawdziwy pojedynek. Kto w nim wygra, czy człowiek przewycięży ów los, czy też ugnie się pod jego ciężarem. To jedyny w swoim rodzaju egzamin – sprawdzian z życia i człowieczeństwa.

W poetycko udratyzowanym pojedyńku S. Nyczaja są, jak przystało, dwie osoby: Poeta i upersonifikowany Los, a każda

z nich ma swoje racje, swoje argumenty, których usilnie broni. Ma ów pojedynek swoją dramaturgię, a wydobyciu jej służą wskazówki autora, nazwałabym je minididaskaliami ze względu na swą lakoniczność, wystarczającą w tak krótkim poemacie dramatycznym, bo taki podtytuł nosi część pierwsza tego tomiku.

Taki właśnie pojedynek, pełen ekspresji, miałam możliwość usłyszeć w świetnym wykładaniu Arkadiusza Szostaka i samego poety z okazji 50-lecia jego pracy twórczej na spotkaniu kręgu twórców niewidomych i niedowidzących, a więc szczególnie dotkniętych przez los.

Odtwórcy wyrazili całą gamę doznań i uczuć pojedynkujących się: od ironii, sarkazmu, pychy do wątplenia, a nawet obawy i leku.

Wracając do tomiku, a zwłaszcza jego pierwszej części, zauważamy, że Poecie przychodzi w sukurs, co ciekawe, sam Los, którego nieprzejednanie prowokuje i zachęca do walki. Ponadto Poeta ma zawsze wiersz w zanadrzu, a ten „będąc ripostą / zarzuci celnie lasso rytmu / puentę na szyi zaciśnie”. I mimo wszystko, albo raczej na przekór wszystkiemu, Poeta nie rezygnuje z nadziei, tej „nieustrudzonej nadziei”, bo niepodobieństwem bez niej życie, póki się jest w tym „zawikłanym krajobrazie świata”.

Ale S. Nyczaj nie byłby sobą, gdyby nie spojrział na ów Los z przymrużeniem oka. Mamy więc w drugiej i trzeciej części zbioru fraszki i aforyzmy. Wybrałam te odnoszące się właśnie do Losu.

„Do Losu”

Czyhasz, by zmienacka dać mocno po nosie. A ja w nim głęboko mam cię, niecny Losie.

„Żeby nie zapeszyć”

Żeby Losu nie zapeszyć, mam się ze wszystkiego cieszyć?

„Do wróżki”

Lepiej mi, wróżko, przepowiedz, jak mógłbym fatum zapobiec.

„Los ksiąźki”

Ten jeden ruch – VAT zdecydował: mat!

Oj, przydałby się kurs do odparowywania ciosów Losu!

Los się do mnie uśmiechnął! Zatem z kogo zakpił?

Godząc się na niekorzystną sytuację, powstrzymujemy Los w impecie ku czemuś gorszemu.

(Dokończenie na stronie 24)

Filozofia codzienności (107)



Zbyt mało mówi się u nas o wartości prawdy wewnętrznej i zgodnego z nią kształtowania własnego poglądu na świat.

Wybór między poszczególnymi światopoglądami odbywa się przez odwołanie się do strony intelektualnej oraz emocjonalno – woliwnej człowieka. I żadnego nie można odrzucić, powołując się na to, że jest „nie-naukowy”. Argumentacja taka byłaby chybiona, bo odmiennosc pojęć „nauka” i „światopogląd” nie pozwala na ich łączenie.

Wartości, w których jesteśmy wychowywani, nierzadko uznaje się za nie podlegające żadnym wątpliwościom. W wielu jednostkach narasta przekonanie, że jedynie ich pogląd na świat jest prawidłowy. A powszechność wyznawanych poglądów budzi z reguły wadliwe przeświadczenie, że pogląd ten jest trafny. Wielość wyznawców nie może świadczyć o prawdziwości wyznawanych poglądów. Warto dodać tu na marginesie, że historia kultury uwypukla, iż rację mieli z reguły ci w minionych dziejach, którzy należeli do mniejszości, pozostawali w opozycji do powszechnie wyznawanych poglądów. To Van Gogh się nie mylił, by posłużyć się tym wyrazistym przykładem.

Fanatyzm, czyli pozbawione jakichkolwiek wątpliwości przekonanie, że jest się wyznawcą jedynie prawdziwych poglądów, bo wyniesionych ze studiów farmaceutycznych czy medycznych, wywołuje niebezpieczny stan. Prowadzi do narzucania własnych poglądów innym. Prowadzi do nietolerancji, do braku szacunku dla człowieka, który myśli inaczej.

Groźna jest nietolerancja płynąca z przekonania, że reprezentuje się niepodważalne prawdy. Pożądane byłoby krzewienie, poprzez system edukacji oraz środki masowego przekazu, umiarkowanego agnostycyzmu, to znaczy przekonania o ograniczonych możliwościach poznawczych człowieka. Weźmy chociażby pod uwagę, że historia każdej z nauk – astronomii czy medycyny – jest zapisem poglądów, które dziś oceniamy jako nieprawdziwe. Jest więc zapisem błędów, które człowiek popełnia, poszukując prawdy. Czy można zdając sobie sprawę z omylności nawet wiedzy naukowej przypisywać zasadnie swoim poglądom miano jedynie prawdziwych?

Głosząc własne przekonania, nie można wykluczyć, że inne poglądy – te jeszcze przez nas nie dość przemyślane, bądź w ogóle nie poznane – zawierają też elementy słuszności. Wątpliwości spowodują, że nie będzie się innych nawracać na to, co uważa się za prawdziwe. Należy być sprawiedliwym i życzliwym wobec cudzego punktu widzenia.

Tolerancja, którą powinni odznaczać się aptekarze i lekarze pierwszego kontaktu, wiąże się z szacunkiem, którym należy darzyć każdego człowieka, w tym pacjenta. Ma się wyrażać w życzliwym wysłuchaniu i respektowaniu wybranych przez pacjenta metod leczniczych; akademickich albo pozaakademickich. Jest oczywiste, że ogólny nakaz obowiązujący aptekarzy i lekarzy brzmi: przede wszystkim nie szkodzić. A możliwe jest zaszokowanie, jeśli skłoni się kogoś, wbrew jego poglądom, do leczenia określoną metodą.

Zgodne z honorem omawianych tu grup zawodowych byłoby postępowanie nakreślone przez Tadeusza Kotarbińskiego. Filozof ten był przeciwnikiem atmosfery zakłamania, która polega na tym, że w społeczeństwie określone poglądy cieszą się przywilejami, co wiąże się z ograniczeniami dla poglądów przeciwnych. Słusznie twierdził, że jesteśmy tolerancyjni tylko wtedy, gdy pozwalamy komuś na coś, co któremuś z naszych celów przeszkadza. Podkreślając wartość tolerancji w stosunku do światopoglądu pacjenta, aptekarz czy lekarz mają prawo do wypowiadania poglądów, które żywią, ale to nie znaczy, by mieli je narzucać.

Z poglądów Tadeusza Kotarbińskiego płynie wskazanie, by odnosić się do pacjentów, biorąc za wzór stosunek opiekuna do podopiecznego. A więc opiekun ma być godny zaufania, uczciwy, odważny, opanowany, odpowiedzialny. Są to wskazania należące do zakresu tego, co należałoby określić mianem kodeksu honorowego aptekarza oraz lekarza pierwszego kontaktu.

Kodeks honorowy jest z natury swej niezależny, czyli wolny od założeń i odniesień światopoglądowych. Kodeks honorowy może być wspólny dla ludzi z natury swej zróżnicowanych. Zespolony jest z tolerancją. Scala obywateli określonych zawodów. Jego wskazania powinny być możliwe do przyjęcia dla kogoś, kto jest wyznawcą jakiejś religii, dla człowieka bezwyznaniowego, jak również dla ateisty. Niezależnie od tego, czy stoi się na gruncie etyki chrześcijańskiej, czy bliskie są komuś ideały New Age, bądź na przykład buddyzm – honor nakazuje zaopiekować się tymi, którzy cierpią. Postawa przeciwna usprawiedliwia nawet darzenie kogoś pogardą.

Poczucie honoru zobowiązuje i narzuca rozmaite ograniczenia w pracy zawodowej. Nakazuje życzliwość wobec drugiego człowieka. Trudno sobie wyobrazić wybór zawodu aptekarza, czy lekarza pierwszego kontaktu przez kogoś, kto jest mizantropem i przy-

króć sprawia mu nawiązywanie kontaktów z ludźmi. Poczucie honoru zobowiązuje i zarazem nobilituje. Dodam, na marginesie, że pozwala przetrwać zły los zgotowany przez innych i zewnętrzne okoliczności.

Apelowanie do honoru, to zarazem odwoływanie się do tkwiącego w każdym człowieku, przynajmniej w załączku, poczucia uczciwości, sumienności, sprawiedliwości oraz fachowości. Jeśli przywróci się funkcjonowanie honoru aptekarza, lekarza, uczonego, nauczyciela, polityka – to wszyscy na tym zyskają.

Upadek pewnych wartości, w tym honoru, to rezultat naszej bezmyślnej amerykanizacji i kopiowania tego, co uznaje się u nas za symbol nowoczesności. Zgubne stają się w naszym społeczeństwie skutki lęku, by nie wydać się staromodnym, pozostającym na obrzeżach tego, co europejskie. Twierdzę, że Europejczyk, jeżeli to słowo ma coś znaczyć, to człowiek kierujący się honorem.

Człowiek honoru spełnia swoje zobowiązania przede wszystkim po to, by pozostawać w zgodzie z własnym ja. Miło jest, gdy możemy cieszyć się aprobatą, którą darzą nas inni, ale nie może ona być miernikiem ani celem podjętych wysiłków. Osądząć powinien każdy siebie – nie zaś drugiego człowieka i odpowiedzieć sobie na pytanie czy postępuje zgodnie z zaaprobowanym przez siebie systemem wartości. Trudno jest przeniknąć motywy, którymi ktoś się kieruje, a wpływają one na wartość czynu, bowiem ma on inny sens zależnie od tego czy bezinteresowność, czy chęć rozgłosu ku czemuś nas skłania.

Poczucie honoru stanowi wartość łączącą ze sobą ludzi określonego zawodu. Sprawia ono, jeśli jest respektowane, że samo przez się, w oczywisty sposób, na przykład aptekarze i lekarze pierwszego kontaktu czegoś nie czynią lub ku jakimś określonym postawom są skłaniani i to nie ze względu na zewnętrzne naciski.

Kodeksy etyczne poszczególnych zawodów wprowadzają pewne rygory, które nie zawsze są możliwe do szczerego zaakceptowania przez wszystkich przedstawicieli danego zawodu. Kodeksy etyczne sięgają zbyt głęboko, co się zdarza, do kwestii światopoglądowych. Dotyczy to w dużym stopniu na przykład kodeksu etycznego lekarzy.

Pamiętajmy, że ustrój demokratyczny – w odróżnieniu od totalitarnego – ma charakteryzować się wieloświatopoglądowością. Relatywizm wartości związany jest nierozdzielnie z demokracją. Pewne fragmenty kodeksów etycznych bywają natomiast sprzeczne z postulowaną w tym ustroju wolnością światopoglądową człowieka.

Zdarza się, że kodeksy etyczne pozostają w sprzeczności z obowiązującym prawem.

cdn.

Maria Sajdakowska

ANDRZEJ BARTYŃSKI

Rozmowy na globie -
człowieka o sobie**I to i owo**

– O, drogi nasz Sokratesie, który w *salonie mych myśli* występujesz jako filozof Pan Nietwór.

– O, drogi nasz Danielu Spanielu, który w *salonie mych myśli* występujesz jako prawdziwy, prawdomówny, prawdziwy, prawdziwy asystent mistrza filozofii życia, a także, jako początkujący aoida, wędrowny poeta przy okrągłym stole w *salonie mych myśli*.

– O, droga nasza piwnooka, jak heban czarnowłosa Luno, która w *salonie mych myśli* występujesz jako BOS, nasz BOS, co się tłumaczy Biuro Ochrony Salonu, *salonu mych myśli*.

Mówiąc w przenośni, ty Luno, nas wszystkich trzymasz w swoich dłoniach, jak okazały bukiet tulipanów na pokaz, aby kibice wołali, Polska razem! Europa razem! Ludzie świata razem! W imię wzajemnej pomocy i powszechnej przyjaźni, amen! To mówię ja, Wiosna, błękitnooka i złotowłosa, wasza wierna niewolnica i zarazem zniewalająca despotka w *salonie mych myśli*, za zgodą Autora w imię poetyckiej wyobraźni, bez której tak jak bez wina, jak bez wina tak nudno, tak trudno jest żyć. Zaznaczam, że nikogo nie namawiam na pijaństwo. Ja namawiam tylko na smakowanie radości życia ku chwale słońca, jak mówi nasz Autor. Ku chwale słońca, którego sam już od tylu lat nie widzi. A jednak jako syn słońca, słowo nam daje ku chwale słońca. Słuchajmy tych słów i uczmy się, uczmy się żyć w gronie przyjaciół. Niech inni biorą z nas przykład i niech się uczą, bezpłatnie i za darmo. Bezpłatnie i za darmo, ja Wiosna, wasza wierna niewolnica stawiam na stół słońce w płynie, a więc usiądźmy przy winie. Jest bułgarskie, węgierskie i francuskie. Warna, Tokaj i Beauwillon –

wszystkie wina czerwone. Jest także polskie, moje czerwone wino własnej roboty o nazwie *Uśmiech Ksantypy* – powiedziała Wiosna i uśmiechnęła się promiennie od czasów starożytnej Grecji, roku 470 p.n.e., gdy urodził się Sokrates, do naszych czasów Polski współczesnej, roku 2015. Polska razem! Europa razem! Ludzie świata razem!

– Musisz więc zagrać rolę Ksantypy dzisiaj, Wiosno – powiedziała Luna, uśmiechając się zagadkowo.

– Jak widzę, jak słyszę przyszedł na mnie czas, abym odegrał swą rolę Sokratesa – powiedział filozof Pan Nietwór. Aby jako wielki filozof ogłosił światu wielką mądrość, wielką historyczną prawdę „wiem, że nic nie wiem”.

– A ty byś kiedy co wiedział? – ogłosiła światu wielką historyczną prawdę Wiosna, odgrywająca już rolę Ksantypy, żony greckiego filozofa Sokratesa.

– Czy widzicie, czy słyszycie? Rzecz się odbyła wyśmienicie, według złotej zasady. Oni oboje, Sokrates i Ksantypa, jak harmonijne małżeństwo wykonali zadanie bezbłędnie, jak należy, zachowując jedność czasu, miejsca i sposobu. Należą się im za to duże brawa – to zachwycony głos zza pieca ogłasza światu swą opinię i sypią się duże brawa kibiców *salonu mych myśli*, którzy wołają, Polska razem! Europa razem! Ludzie świata razem!

– Jak widzę, jak słyszę przychodzi na mnie czas, czas by udowodnić mój zniewalający despotyzm, który się szerzy przy okrągłym stole dla dobra nas wszystkich. Dla naszego dobra rozlewam do naszych pucharów, mój *Uśmiech Ksantypy*, a do pucharów naszych głów rozlewam czerwone wino sokratejskich słów; „wiem, że nic nie wiem”. Pijmy więc to, co jest w pucharach i uczmy się żyć po to, żebyśmy jednak coś wiedzieli dla ludzkiego dobra w naszym pięknym i jednocześnie okrutnym świecie.

– Masz wielką rację, Wiosno, mówiąc, żebyśmy jednak coś wiedzieli dla ludzkiego dobra – odezwał się wzruszonym głosem Daniel Spaniel. Określasz, Wiosno, kolor wina. Mówisz czerwone wino słów, bo najpierw widzimy kolor, a później czujemy smak, smak sensu. Ja na ekranie mego słuchu widzę teraz pieśń, ową sławną pieśń:

*Czerwone maki na Monte Cassino
zamiast rosy piły Polską krew
po tych makach szedł żołnierz i ginął
lecz od śmierci silniejszy był gniew.*

Zginęli dla nas, dla naszej wolności. Jedni oddali swe życie, a drudzy swe zdrowie, za nas i dla nas w walce z hitlerowskim, ludobójczym faszyzmem. Polscy bohaterowie II Wojny Światowej, żebyśmy jednak coś wiedzieli. Nasz Autor też oddał swe oczy dla nas i za nas w czasie hitlerowskiej okupacji Lwowa, jako chłopiec żołnierz, łącznik Armii Krajowej. Żebyśmy jednak coś widzieli. Utracił

wzrok całkowicie i stał się niewidomy, jak starożytny grecki poeta Homer, by dla ludzkiego dobra, światu śpiewać pieśń. Piękno życia przeciwko okrucieństwu naszego codziennego świata.

– Danielu Spanielu i Ty Obywatelu, Boże! Każdy żyje jak może. Nasz Autor mówi jako syn słońca, że ludzka wiara nie ma końca. Jest piękno życia – przemówił znad okrągłego stołu złocisty kandelabr.

– Jest piękno życia. Wiem, że nic nie wiem. To znaczy, że teraz już wszystko wiem – podsumowała stanowczym głosem okienna framuga kończąc spotkanie w *salonie mych myśli*. Uśmiechając się jak Ksantypa.

P.S. Żebyśmy jednak mogli coś wiedzieć.

Monte Cassino

*Czerwone maki na Monte Cassino
zamiast rosy...
rosną i rosą w plenerze
Czy widzisz ten rząd białych krzyży
Nie widzę
bo jestem ociemniałym żołnierzem
Jakie to musi być straszne
tak nie widzieć
nie widzieć wcale
Gdy się ma ojczyznę własną
warto im coś odpalić
Piękne oczy powiedzmy
piękne ręce i nogi
Popatrz jak defilują
karabinierzy włoscy
wśród polskich mogił
Śpieszą oddać honory salut
przypomnieć sławę
tych, co swe ciało Italii
serce zaś – Polsce dali
a duszę Bogu we wieczną dzierżawę
bo tak ich wychowali
Ave Caesar!
Pochyliam głowę
Morituri te salut ant
Ja też odchodzę
śląd swego buta*



Rys. Barbara Medajska

POEZJA

Kazimierz Arendt, *Moja Hellada*. Przekład na grecki: Ares Chadzinikolau. Projekt okładki i zdjęcia: Ares Chadzinikolau. Konsultacja poetycka: Opracowanie redakcyjne: Jerzy Dobrzański. Projekt okładki: Mariusz Czak. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 2015, s. 208.

Stanisław Barańczak, *Widokówka z tego świata*. Projekt graficzny serii Emilia Bojańczyk, Podpunkt. Seria *Poetycka „Zeszytów Literackich”*, tom i. Fundacja Zeszytów Literackich, Warszawa 2015, s. 56.

Maria Bigoszevska, *Jeden pokój*. Projekt graficzny serii, projekt okładki Paweł Nowakowski. Obraz na okładce: Andrzej Fronczak *Instytut eksperymentalny*. Zdjęcie autorki Paweł Kwiek. Seria *Forma 21*. Wydawnictwo FORMA, Fundacja Literatury imienia Henryka Berezyna, Szczecin, Bezzręcze 2015, s. 52.

Wojciech Dobrzański, *Wizja lokalna*. Projekt okładki Agata Hajdecka. Zdjęcia na i i iv stronie okładki Agata Hajdecka. Wydawnictwo „Pod Tytułem”, Prudnik 1015, s. 84.

Robert Feszak, *Wnętrza gór*. Redakcja: Bogdan Zadura, Dorota Koman. Obraz na okładce: Izabela Oldak *Anastasis* z cyklu *Krajobrazy*. Zdjęcie autora: Łukasz Jaros. Wydawca: Miasto Radomsko. Współpraca wydawnicza: Instytut Technologii Eksploatacji – PIN w Radomiu, Radomsko 2015, s. 64.

Katarzyna Gondek, *Splątania*. Projekt graficzny serii, projekt okładki Paweł Nowakowski. Zdjęcie na okładce i w książce Andrzej Dobosz. Zdjęcie autorki Jarosław Piekarski. Seria *tablice*. Wydawnictwo FORMA, Szczecin, Bezzręcze 2015, s. 58.

Jerzy Jankowski, *Listy*. Redaktor prowadzący: Daniel Kawa. Wstęp: Marek Wawrzekiewicz. Projekt okładki: Krzysztof Galus. Korekta: Jerzy Pałatyński. Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2015, s. 84.

Bogdan Jaremin, *Pracownia czasu*. Projekt okładki Joanna Śmielowska. *Biblioteka Poezji / Biblioteka „Toposu”*, tom 112. Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, redakcja „Toposu”, Sopot 2015, s. 108.

Rafał Kierzyńska, *Nęcza poezji*. Grafika na okładce Erazm Ciołek. Zdjęcie autora ze zbiorów Rafała Kierzyński. Projekt graficzny Mariusz Jeziorko. Fundacja Przyroda i Człowiek, Kostkowice 2015, s. 46.

Maciej Krzyżan, *Poezja (nie)hermetyczna i podobne rytmy, czyli idąc dalej*. Projekt Jan Kaja, Jacek Soliński. Zdjęcie autora Jacek Soliński. Galeria Autorska, Bydgoszcz 2015, s. 68.

Krystyna Krzyżanowska-Nastulczyk, *I włos ma swój cień*. Projekt graficzny Wiesław Łysakowski/Compal. Fotografia autorki na skrzydełku Franciszek Nastulczyk. Zdjęcia Krystyna Krzyżanowska-Nastulczyk. Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Miejskiego w Bielsku-Białej, Bielsko-Biała 2015, s. 80.

Andrzej Kuśnierczyk, *Album niewinnych fotografii*. Projekt okładki, opracowanie graficzne Jarosław

Leszczuk. Literackie Towarzystwo Wzajemnej Adoracji „Li-TWA” w Częstochowie, Częstochowa 2015, s. 90.

Anna Landzwojczak, *Papierowy smak*. Redakcja: Zdzisława Jaskulska-Kaczmarek. Projekt okładki: Krzysztof Kowalczyk. Opieka edytorska: Waldemar Taurogiński. Korekta: Danuta Makaruk. Wydawnictwo TAWA Taurogiński Waldemar, Chełm-Poznań 2015, s. 68.

Kazimierz Machowina, *Skazka*. Redakcja i zdjęcia: Ireneusz Zwoliński. Wstęp: Andrzej Warzecha. Opracowanie graficzne: Andrzej Błaszczak. Wydawnictwo i Drukarnia Towarzystwa Słowaków w Polsce, Kraków 2015, s. 48.

Edward Pasewicz, *Och, Mitochondria*. Projekt okładki i stron tytułowych Agnieszka Orłowska. Zdjęcie na okładce Krzysztof Skomski. Zdjęcie autora Irek Grin. EMG, Kraków 2015, s. 54.

Jerzy Stasiewicz, *Po co komu krzyż*. Redakcja: Piotr Goszczycki. Wstęp: Arkadiusz Kiński. Projekt okładki: Justyna Bartoń-Depa. Fotografie: Violetta Stasiewicz, Kamila Bartczak, Piotr Goszczycki. Seria *Szlak literackiej pkp-jazdy, Pociąg nr 8*. Wydawnictwo Komograf, Warszawa 2015, s. 128.

PROZA

Jean-Daniel Baltassat, *Kozetka Stalina*. Przełożył Andrzej Bilik. Projekt okładki Michał Duława. Wydawnictwo Studio EMKA, Warszawa 2015, s. 272.

Dawid Grosman, *Księga gramatyki intymnej*. Wydawnictwo Świat Książki, Warszawa 2015, s. 528.

Andrzej Grzyb, *Okno początku i końca*. Wybór opowiadań Janusz Ryszkowski. Zdjęcie na okładce Janusz Hankowski. Wydawnictwo „Bernardinum” Pelplin 2015, s. 140.

Anna Herbich, *Dziewczyny z Syberii. Prawdziwe historie*. Fotografia na I i IV stronie okładki. Znak Horyzont, Kraków 2015

Jarosław Kamiński, *Wiwarium*. Grafika i projekt okładki Jakub Kowalczyk. Seria *Archipelagi*. Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2015, s. 480.

Wojciech Kajtoch, *Listy z Moskwy. Powieść epistolarna*. Wydawnictwo Aureus, Kraków 2015, s. 126.

Marco Malvaldi, *Trzy karty*. Przełożył Maciej A. Brzozowski. Projekt okładki Witold Siemaszkiewicz, Noir sur Blanc, Warszawa 2015, s. 214.

Jerzy Marciniak, *Owacje pustej widowni*. Redakcja: Stefan Pastuszewski. Instytut Wydawniczy „Świadectwo”, Bydgoszcz 2015, s. 176.

Giles Milton, *Rosyjska ruletka*. Przełożył Jan Krasko. Projekt okładki Tomasz Lec. Noir sur Blanc, Warszawa 2015, s. 360.

Jurata Bogna Serafińska, *Kosmiczny żyrandol. Opowiadania*. Opracowanie graficzne: Maciej Penar. Portret autorki i exlibris: Zbigniew Kresowaty. Fotografie: Jurata Bogna Serafińska. Wydawnic-

two ALMAGRAF, Krosno 2015, s. 106.

Krzysztof Varga, *Masakra*. Projekt serii WKDesign. Opracowanie graficzne okładki Anna Kowalska. Zdjęcie na okładce Casarsa/E+/Getty Images. Zdjęcie autora Radek Polak. Wielka Litera, Warszawa 2015, s. 544.

Louisa Young, *Wciąż czekam*. Przełożyła Anna Kłosiewicz. Projekt okładki Mariusz Banachowicz. Prószyński i S-ka, Warszawa 2015, s. 406.

NAUKA, KULTURA, SZTUKA

Wojciech Kajtoch, *Szkice polonistyczno-rusycystyczne*. Recenzent: Ignacy S. Fiut. Projekt i opracowanie graficzne okładki: Olena Dudała. Na okładce wykorzystano obraz Juliusza Kossaka *Jan Chryzostom Pasek pod Lachowiczami*, Wydawca: Centrum Badań Europy Wschodniej Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego, Olsztyn 2015, s. 188.

Paweł Kuszczynski, *Wartości zauważone. Recenzje nie wszystkie*. Redakcja i wstęp: Mirosława Prywer. Projekt okładki (strona I) – fotografia: Kamila Maria Kampa. Projekt okładki (strona IV) – fotografia: Władysław Sobala. Seria Wydawnicza LIBRA, nr 72. Wydawca: Związek Literatów Polskich, Poznań 2015, s. 194.

Anna Łozowska, *Opowieść o człowieku. Poezja najnowsza w krótkich interpretacjach (szkice o wybranych zbiorach poetyckich)*. Redakcja wydawnicza: Andrzej Chludziński. Koncepcja graficzna serii oraz wstęp: Lech. M. Jakób. Zdjęcie autorski na okładce: Kamil Patynowski. Opracowanie graficzne: Dorota Gierszewska. Biblioteka *Latarni Morskiej*. Wydawnictwo Jasne, Pruszcz Gdański 2015, s. 252.

Jurata Bogna Serafińska, *Międzyepoka. Eseje*. Wstęp: Andrzej Zaniewski. Opracowanie graficzne: Maciej Penar. Portret autorki: Zbigniew Kresowaty. Autorzy eXlibrisów: Zbigniew Kresowaty i Jerzy Napieracz. Wydawnictwo ALMAGRAF, Krosno 2015, s. 120.

Marian Stępień, *Między literaturą a medycyną*. Projekt okładki Maciej Sadowski. Wydawnictwo Studio EMKA, Warszawa 2015, s. 208, w tym ilustracje.

Andrzej K. Waśkiewicz, *Lubuskie środowisko literackie. Szkice z lat 1963-2012*. Projekt okładki Igor Myszkiwicz. Projekt typograficzny Anna Strzyżewska. Seria *Historia Literatury Pogranicza*, tom 4. Towarzystwo Miłośników Zielonej Góry, Winnica, Oddział Związku Literatów Polskich w Zielonej Górze, Uniwersytet Zielonogórski, Zielona Góra 2014, s. 196.

Andrzej Zawada, *Drugi Bresław*. Projekt okładki Ewa Kutkowska. Na okładce wykorzystano reprodukcję obrazu Greta Waldau *Ratusz ok. 1890 r.* oraz fotografię współczesną Mirosława Łanowieckiego. Oficyna Wydawnicza ATUT, Wrocławskie Wydawnictwo Oświatowe, Wrocław 2014, s. 266.

[ad]

Pojedynek z Losem

(Dokończenie ze strony 20)

W jaki nowy układ, Losie,
wejdzie nasz Układ Słoneczny,
gdy gwiazda Słońca zgaśnie?

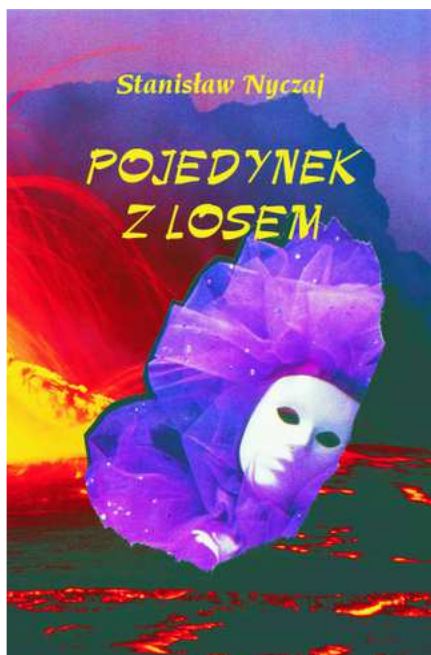
Że też gwiazdom
oddalonym od nas o tyle lat świetlnych
chce się zajmować
każdym człowiekiem z osobna –
i to od samych jego narodzin!

I znowuż, mocarny Losie,
powyginałeś nam wykrzykniki
w znaki zapytania
na dalsze myślowe bezdroża.

Przytoczone fraszki i aforeski z części drugiej i trzeciej tomiku rozładowują napięcie dramatyczne tytułowego pojedynku.

Poprzez swój prześmiewczy, ironiczny i żartobliwy ton mogą obudzić w czytelniku poczucie szansy, jaka ma w zmaganiach ze swoim losem, bo może „odejrzeć” mu sarkastyczną drwiną, przechylając na swoją korzyść wynik starcia, w którym siły są nierówne.

Krystyna Cel



Stanisław Nyczaj, „Pojedynek z Losem”. Kolaże: Ireny Nyczaj, OW „STON 2”, Kielce 2015, s. 76.



„Każdy ma prawo napisać islamofobiczną książkę, jeśli ma ochotę» – powiedział Michel Houellebecq na targach książki w Kolonii. To była jego pierwsza wypowiedź od zamachu na redakcję »Charlie Hebdo«. Chwilę wcześniej zapewniał jednak, że »Uległość«, jego najnowsza powieść, która właśnie ukazuje się w Polsce, »nie jest wymierzona w muzułmanów«.

Oczekiwano po nim podobnej deklaracji. Wszak jednym z elementów promocyjnych »Uległości« była okładka magazynu »Charlie Hebdo« z karykaturą autora w przebraniu czarnoksiężnika. Nagłówek krzyczał »Przepowiednie maga Houellebecqa«, a pisarz w zblazowanej pozie zapowiadał, że »w 2015 roku straci zęby«, a »w 2022 będzie obchodził ramadan«. Gazeta pojawiła się w kioskach w środę rano 7 stycznia 2015 roku, ale już około godziny 11.30 nikomu nie było do śmiechu: islamscy terroryści zaatakowali redakcję znaną z ośmieszania wszystkiego i wszystkich, w tym muzułmanów – pisze Milena Richard Chehab w »Gazecie Wyborczej«, numer 207/2015.

Tego samego dnia pisarz odwołał wszelkie działania promujące »Uległość«, wyjątek robiąc dla francuskiego Canak. Zaraz po zamachu ewakuowano biuro wydawcy Houellebecqa, przez pewien czas ukrywał się również on sam.

„[...] Reżyser nigdy nie oskarża i nie piętnuje swoich bohaterów. On ich zwyczajnie lubi. Czy są to głupiutcy milicjanci, czy pijany peelerowski celebryta, czy XIX-wieczna szlachcianka – każdy ma w jego filmach szansę na odkupienie. Przy odrobinie wysiłku każdego można zrozumieć lub próbować go wytłumaczyć. Bodaj najlepiej widać to na przykładzie zbiorowego bohatera filmu »Nie lubię poniedziałku«. Na plan pierwszy u Chmielewskiego wysuwa się przede wszystkim bardzo zgrabny i pomysłowy sposób opowiadania: przechodzenie od postaci do postaci i – niby przypadkowo – łączenie ze sobą poszczególnych wątków. Żadnego z bohaterów się tu nie ośmiesza, bo jacy by nie byli, winę za ich stan, postawę i zachowanie ponosi nieszczęśny poniedziałek. Dlatego najpopularniejszy motyw filmu – pijany Bohdan Łazuka sunący z korbą wzdłuż linii tramwajowej – niczym refren piosenki podsumowuje cały przedstawiony świat: niezgrabny, pijany, lecz przecież niegroźnie zabawny. Elementy skacowanej poniedziałkowej układanki łączą się w spójną całość, a zawarty w filmie liryzm, lekkość i tempo raz jeszcze okazują się głównymi cechami kina Chmielewskiego – pisze Artur Majer w »Tygodniku Powszechnym«, numer 37/2015.

Większość filmów tego artysty ma przede wszystkim nas rozśmieszać. Ich humor jednak nie tylko bawi, ale także oczyszcza. Nauka płynąca z filmów Chmielewskiego jest przede wszystkim kojąca. Reżyser oswaja »lęk przed poniedziałkiem«, bo decyduje się pokazać go lekko i żartobliwie. Podobnie jak przestępców z »Ewa chce spać«, których nie należy się bać, bo zanim zrobią krzywdę, zechcą nam pomóc. Nie inaczej jest z leniwymi robotnikami z »Pieczonych gołąbków« (1966): niby

kombinują, przeszkadzają, kradną, ale gdy przyjdzie co do czego, staną za człowiekiem murem i nie pozwolą go skrzywdzić. Pechowy żołnierz, który »rozpętał drugą wojnę światową«, ostatecznie także ją zakończył. Dzięki takim postawom w świecie Chmielewskiego zawsze istnieje nadzieja».

„Niekórych dziwi, że mamy w Polsce antyimigracyjne i antymuzułmańskie sentymenty przy śladowej liczbie wyznawców islamu. Twierdzą, że nie mamy prawa wybierać sobie z fali uciekinierów tych, których uważamy za najbardziej podobnych kulturowo do siebie. Wyjaśnienie naszej podejrzliwości jest proste: przysłowie »mądry Polak po szkodzie« straciło aktualność. Uczymy się na cudzych błędach z codziennych wiadomości.

Tak jak dekoratorzy wnętrz pokazują stan przed i po renowacji, tak i my, dzięki doświadczeniom Zachodu, możemy porównać społeczeństwo przed i po rewolucji etnicznej. Przed mamy społeczeństwo jednorodne kulturowo, w którym wypadki drogowe czy potyczki policji z przestępcami nie stają się okazją do rozruchów rasowych – jak na przedmieściach Paryża. Nie mamy patroli religijnych zabraniających spożywania alkoholu i wie-przowiny ani napaści na gejowskie kluby – pisze Waldemar Hoff w »Rzeczpospolitej PlusMinus«, numer 207/2015.

Jak jest po, wiemy z mediów. lista negatywnych zjawisk nie ma końca. Amerykański KFC wycofał chusteczki higieniczne nasączone alkoholem, gdyż użycie alkoholu, nawet w celach sanitarnych, obraża Proroka. W duńskim miasteczku Kokkendal muzułmanie po zdobyciu władzy zabrali się do demontażu kultury chrześcijańskiej przy dziwnym braku dezaprobaty ze strony »zawodowych« obrońców praw człowieka. W dużych miastach powstały dzielnice, do których nie śmie się zapuścić ani patrol policji, ani ambulans, gdyż zdaniam mieszkańców są to terytoria wyjęte spod władzy państwa goszczącego. Cóż to za państwo, którego suwerenność jest dziurawa jak ser szwajcarski? Cóż to za prawa człowieka, które działają tylko w niektórych dzielnicach miasta?

Szwedzkim żołnierzom zalecono nieprzebywanie na ulicach w mundurach w święto niepodległości, gdyż mogłoby to urazić uczucia imigrantów mających tego dnia palić flagę państwa, które ich przysparzało. Nie zawsze uciekinierzy zdążyć do brzegu, nim pokażą prawdziwe oblicze. W kwietniu władze Sycylii aresztowały 15 uchodźców z Libii za wyrzucenie za burtę 12 chrześcijan. Właśnie dlatego, że znaczna część imigrantów nie wyznaje tych samych wartości co my, nasza otwartość powinna być selektywna. Inaczej możemy sprowadzić ludzi praktykujących kamieniowanie kobiet za to, że zostały zgwałcone, wieszanie gejų za to, kim są, ludzi, którzy brzydzą się zachodnią demokracją parlamentarną, czemu dają wyraz w demonstracjach na ulicach europejskich miast.

Nie jest zatem ksenofobicznym pytanie, czy chcemy tego w Polsce. To raczej wołanie o ratunek dla kultury opartej na szacunku dla człowieka».

Gazeta Kulturalna Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka – miesięcznik

Wydawca i redakcja: DOM KULTURY 97-425 ZELÓW, ul. Kościuszki 74, tel. (044) 6341098; 504630543

e-mail: andrzejdebkowski@wp.pl www.gazetakulturalna.zelow.pl

Redaktor prowadzący — Andrzej Dębowski.

Współpraca: Józef Baran, Emil Biela, Tadeusz Czemiawski, Małgorzata Dębowska, prof. Igancy S. Fiut, Andrzej Gnarowski, Kazimierz Iwosse, Stefan Jurkowski, Rafał Orlewski, Janusz Orlikowski, prof. Maria Szyszowska, Tadeusz Zawadowski, Leszek Żuliński.

Współpraca techniczna: Małgorzata Kotala, Agnieszka Kowalczyk.

Redakcja nie zwraca niezamówionych materiałów. Zastrzega sobie prawo do skracania artykułów oraz zmian tytułów nadsyłanych tekstów bez uprzedniego powiadomienia autora. Skład: Andrzej Dębowski. Druk: „TAGRAF”, 98-113 Buczek, Bachorzyn 13, tel. (043) 677-41-56.